

razem

młodzi przyjaciele

CZASOPISMO POLSKIEJ Y.M.C.A

Nr. 1-2 (26-27).

PARYŻ, 15 stycznia - 15 luty 1946.

ROK 3.

A. WÓJCICKI

ZAWÓD

«Właściwy człowiek na właściwym miejscu» — takim zwyczajnym zwrotem «głos ludu» określa dosadnie i trafnie swoją opinię o doborze ludzi do zawodów i stanowisk, oraz wyraża swą tęsknotę do sprawiedliwości społecznej, — zauważmy to — różniczkowanej.

Stosowny wybór zawodu nie jest rzeczą łatwą, ani prostą. Wchodzi tu w grę szereg powikłanych czynników i prądów i conajmniej z trzech punktów widzenia rozpatrywać go należy.

Po pierwsze — jest to bodaj najważniejsze zagadnienie w życiu jednostki. W układzie życia, który nazywamy demokracją, usiłując ją przez wieki doskonalić, wartość i godność jednostki wysuwa się na plan pierwszy. Idealnym byłoby więc takie życie, gdzie każdy znalazłby zawód i pracę, odpowiadającą jego uzdolnieniom, pracę, która byłaby twórczym wyżywianiem się, a nie mordęgą w niewolniczym kieracie.

Jednak jednostka nie żyje samotnie. Od kolebki, aż do grobu powiązana jest w najrozmaitsze grupy społeczne: rodzinę, środowisko, klasę, region czy naród — więc interesy grup społecznych narzucają lub ograniczają jej wybór zawodu. Im lepiej zorganizowane społeczeństwo tym bardziej uwzględnia wolę i uzdolnienia jednostki w wyborze pracy, tym staranniej montuje dobór kółek do tego wielkiego i niestęchanie skomplikowanego mechanizmu jakim jest życie wielkiej grupy społecznej. Wszelkie zresztą porównania z mechanizmem zawodzą, gdyż śrubki, tryby i koła to żywi ludzie, z których każdy jest światem dla siebie.

Wreszcie trzeci, a bodaj najważniejszy jak dotąd wzgląd, to czynnik gospodarczy, który żelaznym naci-

skiem regulował dopływ ludzi do zawodu, otwierał dzięki postępowi technologicznemu nowe możliwości lub też jednego dnia wyrzucał na bruk tysiące ludzi z zawodu, który i zawodem być przestawał.

Droga postępu ludzkiego, w którym by te czynniki tak harmonizowały, aby jednostce otwierać coraz sprawiedliwsze i stosowniejsze dostępy do zawodów i pracy, była długa i żmudna i proces doskonalenia jeszcze będzie trwał zapewne przez wiele generacji.

W średniowieczu i aż po rewolucję francuską upraszczano sobie zagadnienie wiążąc ludzi w klasie czy zawodzie, zależnie od przypadku, w jaką kolebkę bociąn dziecko podrzucał. Syn szewca trwał w cechu i jego prawnuk nadal garbił się nad kopytem, syn ziemianina gospodarzył jak to od wieków naznaczone było, choćby go mierzył zawód rolnika. Tylko przypadek wyjątkowy wytrącał ludzi z klasy, cechu, kasty, czy zawodu; przypadek jak: ruina gospodarcza, ucieczka, czasem odkryty przypadkowo talent. Może jeszcze w stanie duchownym zablakał się plebejusz chociaż większość ogromną stanowisk dla warstw uprzywilejowanych zachowywano. Jeszcze w r. 1935/36 w najbardziej zdemokratyzowanych województwach: poznańskim i pomorskim w wyższych seminarzach duchownych ponad 40 procent seminarzystów dostarczały warstwy uprzywilejowane: ziemianie, przedsiębiorcy, wolne zawody — gdy drobnomieszczaństwo około 25 procent, a wieś około 30 procent — mimo że w liczebności każdej z tych grup społecznych są olbrzymie rozpiętości.

W ten system klasowego zasklepienia uderzyła rewolucja francuska, która właściwie trwa po dziś dzień



Cz 31892/1946/1-2

1604 c 1876

2 1772

w kolejnych wstrząsach społecznych i wojnach, burząc klasy i stany i prowadząc przez formę społeczeństw bezklasowych do sformowania się nowych podziałów i przydziałów, na nowych zasadach opartych.

Naszą epokę cechuje płynność, spowodowana nie tylko wojnami, ale wędrówkami i zmianami w czasach pokojowych, zmianami zatrudnienia itp. Najbardziej posunęło się w tym procesie zamiany ze społeczeństwa klasowego na płynne — społeczeństwo amerykańskie. W latach 1820-1924 immigrowało do Stanów Zjednoczonych ponad 36 milionów mieszkańców z różnych narodowości, wier i obyczajów i wniosło zarazem wiecznej niespokojnej ruchliwości w ten ogromny kontynent pełen bogactw i możliwości. Gdy w Indiach tylko 3 procent ludności żyje poza miejscem urodzenia w USA około 95 przeniosło się w inne okolicę, niż te, gdzie na krótko osiedlili się ich dziadkowie.

Nie więc dziwnego, że społeczeństwo amerykańskie najenergiczniej zajęło się rozwojem poradnictwa zawodowego i pomiarami uzdolnień osobniczych. W społeczeństwie kastowym wszyscy znają wszystkich, tu, wobec napływu nieznanymi osobników, zawodziła protekcja, dłuższa obserwacja, a konieczne były mierniki obiektywne.

Dziś ruch poradnictwa jest w Stanach szeroko rozgałęziony, dysponuje tysiącami placówek, wytworzył odrębne gałęzie nauki, metody badań i rozpoznania, stworzył odrębne zawody (psychotechnik, doradca szkolny i t. p.). Jest w nim może i przymieszka mody, trochę krzykliwego fasonu, ale po odrzuceniu tej piany, która pokrywa każdy twórczy ferment, zostaje wartościowa zdobycz, która życie ludzkie czyni lepiej zorganizowanym i szczęśliwym.

Nie trzeba zapominąć, że nauki, na których oparte jest poradnictwo zawodowe są stosunkowo młode i daleko im jeszcze do doskonałości w wykrywaniu subtelniejszych rozróżnień i uzdolnień. Jednakże nawet, jeżeli przyjmujemy, że są to ogromne siła o dużych okach siatki, to i tak ich społeczne znaczenie w oddzielaniu plew od ziarna i gatunkowaniu przynajmniej kilkunastu odmian tego ziarna jest olbrzymie.

Stany Zjednoczone zrobiły z powodzeniem użytek z tych ogromnych sił dwukrotnie: w 1914 i 1940 organizując naukowo na podstawie testów i badań swoje zwycięskie armie.

Dobry wybór zawodu to proces długi i skomplikowany. Wymaga on skoordynowania wielu składników.

Marzenia i zainteresowania dziecka muszą znaleźć oparcie w obserwacji i badaniach nauczycieli, w pomiarach i testach, wymagają uzgodnienia z wolą i... możliwościami rodziców, z potrzebami rynku pracy, i to dobrze analizowanymi, aby przewidzieć wzrost czy zanik zapotrzebowania na dany zawód.

Bogate szkolnictwo amerykańskie nawet w stosunkowo małych szkołach średnich (200 uczniów) wprowadza osobnego fachowca (guidance counsellor) — doradcę w wyborze zawodu. Ten człowiek, aby dobrze spełnić swe zadanie, musi poznać wychowanka w jego postępkach szkolnych i w otoczeniu domowym, wykryć jego zdolności i przeniknąć marzenia, musi znać rynek pracy i mieć kontakt z pracodawcami, aby ucznia dobrze umieścić, wreszcie pomóc mu wrosnąć w zawód, zwłaszcza w ciężkim okresie próbnym i wskazać drogę postępu i awansu w zawodzie.

Tylko harmonijna praca całego środowiska może zapewnić spokojny i prawidłowy dopływ młodego narybku do warsztatów produkcyjnych, tak aby interesy jednostki i społeczeństwa uzupełniały się, a jednocześnie gospodarza strona zyskiwała.

Polska przed wojną, mimo wielkiego ubóstwa w zaopatrzeniu szkolnym, nie zasypiała sprawy poradnictwa zawodowego. Istniała pokaźna grupa tęgich fachowców, w większych miastach założono pracownie psychotechniczne, odbywały się zjazdy i rósł żywy ruch naukowy (czasopismo «Psychotechnika» i szereg innych artykułów w periodykach naukowych). Na szczególne wyróżnienie zasługiwały takie ośrodki jak Uniwersytety w Poznaniu, Wilnie i Lwowie. Pracownia w Warszawie (studencka), Muzeum Przemysłowe w Krakowie. Żywe zainteresowanie okazywało T-wo Eugeniczne, które wspólnie z władzami szkolnymi i światem fachowym spowodowało opublikowanie szeregu broszur o wymaganiach, stawianych przez różne zawody.

Polska wychodzi z tej wojny o stanie ludnościowym tak płynnym jak chyba żaden inny kraj w Europie. Miliony ruszono z sadyb, przemieszczania ludności dokonują się w ogromnej skali. Pozyskanie znacznie większego przemysłu otwiera nowe widoki na uprzedmiotwienie kraju. W tych warunkach poradnictwo zawodowe może i powinno odegrać ogromną rolę w jak najbardziej celowym wykorzystaniu sił ludzkich dla twórczej i planowej odbudowy życia narodowego w nowych warunkach.

B. SUCHODOLSKI

Praca jako zagadnienie kultury

Doniosłość zagadnienia pracy

Każdy z nas w codziennym doświadczeniu, czuje to wyraźnie, iż zagadnienie pracy jest najważniejszą sprawą naszej epoki. Towarzyszy ona nieodłącznie myślom i dążeniom we wszystkich dziedzinach życia, staje się miarą i celem, ideałem i troską człowieka. Jesteśmy posłusznymi hasłu wyścigu pracy, stwarzamy instytuty, poświęcone jej naukowej organizacji, pragniemy ją usprawnić i racjonalizować, staramy się o dobre pośrednictwo zawodowe. Rozłączamy społeczeń-

stwo i państwową opiekę nad ludźmi pracy, normujemy jej czas i warunki, uczymy się szanować wszelki wysiłek pracującego człowieka. Walczymy z klęską bezrobocia. Słyszemy głosy, domagające się przekształcenia reprezentacji parlamentarnej na reprezentację interesów zawodowych i obserwujemy (pis. w r. 1937) jak dokonywa się to w niektórych państwach Europy.

Ale zagadnienie pracy w epoce współczesnej nie tylko jest kwestią gospodarczo-społeczną i polityczną-

no-państwową. Doniosłość jego w tych dziedzinach jest odpowiednikiem ważności, jaką zyskało sobie pojęcie pracy w zakresie poglądu na świat, w ustosunkowaniu się człowieka:

do życia

do bliźnich,

do samego siebie.

W tym właśnie zakresie spraw powstają dziś najważniejsze pytania dla ludzi. Czym jest praca w życiu człowieka?

Wartość pracy w opinii dziejowej

W poszukiwaniu odpowiedzi sięgniemy do historii.

... W średniowieczu praca zyskuje znacznie dzięki uczestnictwu w przeżyciach religijnych człowieka. Widzi się w niej surowy wyrok boży, zamykający przed Adamem wrota raju i skazujący jego potomków na trud w pocie czoła. Widzi się w niej środek ascetyczny, narzędzie umartwienia i odpędzenia pokus. Nie grzeszy ten kto pracuje. Ale średniowiecze znało również i radośniejsze pojęcie pracy. W miarę tego, jak uciszał się lęk przed końcem świata, w miarę tego jak życie doczesne zyskiwało sobie pewne znaczenie jako niższy, ale ważny, stopień w hierarchii porządku świata, również i praca ludzka osiągała wyższą wartość. Była spełnieniem powinności naturalnej, była radosną służbą Bogu, uwielbieniem Go w dziełach. Witraże katedry w Chartres ukazują pracę na roli, pracę rzemieślnika i pracę uczonego, jako równorzędne formy służby bożej. Ale na ogół praca nie zyskuje w średniowieczu samodzielnego znaczenia... Ponad pracą stoi kontemplacja, zaduma nad rzeczami boskimi, wyrwająca nas z siideł troski i przenosząca wzwyż. Ponad pracą stoi miłosierdzie, darzące bliźnich opieką i pomocą. Dlatego to, według pojęć średniowiecznych istnieją moralne granice pracy: próżniactwo i przepracowanie są jednakowym złem, ponieważ człowiek zapomina wtedy o własnej duszy i o bliźnich.

Renesans darzył umiłowaniem życia doczesne, nie znał jednak entuzjazmu pracy. Ludzie renesansu wielbili pełnię przeżyć i różnorodność silnych wrażeń. Kochali twórczość. Praca wydawała się im zbyt uciążliwa, zbyt monotonna, zbyt szara. Ci, których trawiła żądza bogactwa i złota, pragnęli wydzwignąć się na wyższy poziom społeczny nie pracą, ale łatwiejszymi i pewniejszymi sposobami: szukaniem skarbów, alchemią, lichwą, bogatym małżeństwem...

Tomasz Morus wyznaczył obowiązek sześciogodzinnej pracy dla wszystkich bez wyjątku, ale nie dlatego, iż sądził, że im więcej ludzi stanie do pracy, tym mniej godzin trudu przypadnie na każdego. Ganił wszelki zbytek i zalecał skromność, aby ludzie mogli jak najmniej pracować. Bowiem, jak pisał «najważniejszym celem jest pomóc obywatelom do przewyciężenia ciała, uwolnienia i wykształcenia ducha, w czym jest istotne szczęście życia».

Ale już w dobie renesansu dojrzywała nowa warstwa społeczna, która miała uczynić z pracy godło i hasło naczelne życia. Warstwą tą było mieszczaństwo, dorabiające się pracą godności i znaczenia, przewyciężając powoli przesady stanów i urodzenia. Ta warstwa przejęła się na Zachodzie **ideologią reformacji** a przede wszystkim nauką Kalwina i purytanów. Głosili oni nowy ideał ascezy. Nie wymagał on pustelni, ale

właśnie uczestnictwa w działalności życia. Działalność człowieka winna służyć chwale bożej. Wobec siebie i wobec bliźnich trzeba zachować pełną surowość; nie dla własnej przyjemności podejmuje się pracę. W surowym prostym stylu życia, w gorączce wysiłku, w dyscyplinie wytrzymałości, zabraniającej marnotrawić czas na przyjemności i na odpoczynek, spełnia człowiek religijny obowiązek służby Bogu.

Później w ciągu wieku 18-go wygasną te religijne usprawiedliwienia. Szkoła purytańskiej ascezy nie pójdzie jednak na marne. Ostanie się fanatyzm pracy, jako zjawisko czysto świeckie, jako styl życia dorabiającego się mieszczaństwa i rozkwitającego kapitalizmu. Ten styl życia wymaga wysiłku i pracowitości, przekraczających dawne miary. Czas to pieniądz... Staje się to tym wyraźniejsze, im bardziej rozwija się **technika** i im bardziej komplikuje się organizacja przemysłowo-handlowa. Maszyny mogą i muszą pracować bez przerwy. Dlaczego nie wymagać większego napięcia pracy od ludzi? Maszyna zna tylko pracę lub głuchy milczący wypoczynek. Czegóż więcej ma być potrzeba człowiekowi? Tempo życia i pracy porywa ludzi nieubłagane. W walce o byt, w rywalizacji jednostkowej i zbiorowej zwycięża ten, kto sprawniej funkcjonuje. Wielka maszyna społeczno-gospodarcza musi iść, ludzie muszą ją obsługiwać. I tak powstaje w nowoczesnej cywilizacji **fanatyzm pracy**, powiększający zysk i produkcję, czyniący z ludzi niewolników, oddanych całkowicie służbie, przekreślający marzenia o życiu, w którym byłby czas na sztukę, kontemplację, swobodny rozwój wewnętrzny.

Ten entuzjazm pracy wychodził jednak poza ramy rozrastającego się kapitalizmu. Bronili go ludzie innych obozów równie namiętnie. Romantyk angielski i wielbiciel średniowiecza. Tomasz Carlyle, pragnął stworzyć nową **religię pracy**. Minęły już czasy rycerzy, ale duch rycerski przejawiać się musi w pracy; kiedyś religia i kościół wychowywały człowieka, dziś najlepiej to czyni praca. Ponad szczęście miłować trzeba pracę. Trzeba być jej bohaterskim rycerzem.

W innych słowach tę samą treść głosił socjalizm. Praca była, jego zdaniem, tym, co wywyższa robotnika ponad kapitalistę. Praca jest jedynym źródłem godności. Praca powinna służyć powszechnemu dobru. W pracy dokonywa się najważniejsza i najeiętsza walka człowieka z przyrodą, a zarazem najpiękniejsze jego nad nią zwycięstwo. Udział w tych zmaganiach jest największym dobrem jednostki; winna ona oddać mu się bez reszty i nie szukać szczęścia poza tym. Fanatyzm pracy w społeczeństwie socjalistycznym jest również wielki, jak jej konieczność w cywilizacji kapitalistycznej. Zmienia się tylko społeczna organizacja pracy. Staje ona na usługach zbiorowości, nie na usługach jednostkowego zysku.

Praca i pogląd na świat.

... Cywilizacja nowożytna niejednokrotnie dawała wyraz zespoleniu tych pojęć: pracy i bogactwa. W przyszłościowych wyrażeniach o losie, który wykuwa się własną pracą, o pracy, która bogaci narody, przejawia się ten punkt widzenia, w gruncie rzeczy obojętny wobec pracy, bo zainteresowany jedynie jej materialnymi wynikami.

Dopiero na gruncie aktywnego pojmowania natury ludzkiej zmienia się stosunek do pracy. Przestaje ona

być koniecznością narzuconą z zewnątrz lub świadomie wybraną metodą postępowania. Staje się **potrzebą i wyrazem człowieka**. Jego instynkt działania i konstruowanie znajduje zaspokojenie w pracy, bez niej zaś marnieje człowiek, kurczą się jego możliwości, zacieśnia życiodajne pole doświadczenia. Ale, jak to odradu widać, nie każda praca może mieć taką wartość osobową. I w tym właśnie odróżnieniu pracy dobrej i złej przejawia się najważniejsze znaczenie nowej teorii natury ludzkiej.

Dobrá nazywa się pracę, dostosowaną do potrzeb pracownika, złą zaś wszelką pracę niedostosowaną. Na czymże jednak polega «dostosowanie»? Polega ono na spełnieniu dwóch warunków. Po pierwsze na tym, by pracujący miał poczucie wartości tego, co własną pracą wytwarza, po wtóre, by sam proces pracy był dla niego przyjemny i wartościowy...

Praca, która spełnia te warunki, rozwija i kształci człowieka, wszelka inna pognębia go i niszczy...

... Słuszne zatem wydaje się przekonanie, iż dążyć musimy do takiego przekształcenia środowiska pracy, by owoce jej i sam proces odpowiadały potrzebom pracujących. Ludzie zaś, którzy będą **kochać zarazem i tok swego działania i jego zdobycze**, przeżywać będą szczę-

ście twórczości. Czemże innym jest bowiem twórczość, jak pochłonięciem człowieka przez trud, który jest jego potrzebą wewnętrzną i przez wizję osiągnięć, która jest podniecią wysiłku...

(Z książki p. t. «Idee» St. Brzozowskiego).

... Stanowiskiem niezbędnym, koniecznym człowieka wobec wszechświata jest praca. Myśli jego o tyle tylko mają bytowe znaczenie, o ile kierują pracą, o ile przez pracę są urzeczywistnione. Wszystkie inne punkty widzenia są dowolne, przypadkowe, zmienne. Ten jeden jest konieczny. Ludzkość żyje i rozwija się tylko pracując. Siła jej i znaczenie, szanse rozwoju i przyszłości — wszystko to zależy od pracy. Praca jest podstawowym wartościowym stanowiskiem człowieka wobec wszechświata, stosunkiem do niego...

Historia ludzkości była historią ludzkiej pracy.

STANISŁAW BALIŃSKI

O kraju mój...

«Mon pays sera mes amours
Toujours».

Chateaubriand.

Płynę do ciebie po nocy,

Kraju mój, śpiwny, uroczy,

Tam chmurki drżały z tklwością

A wiatr kotysał serdecznie —

O kraju mój, tyś mą miłością

Wiecznie.

Tam był nasz dom i olszyny,

Cerkiewka stara i młynny,

I bzy w liljowej poświecie

O których pieśni mówiły —

Że najpiękniejsze są w świecie —

Bo były.

Tam — tajemnicze moczary

I cmentarz, przy nim dąb stary,

I napoleoński gościniec,

Zarosty czasu wikliną

Mówiono o nim, że płynie,

Bo płynął...

Poeci przeszli tamtędy,

Zmienili ziemię w legendy,

Gdzie spojrzeć, tam wschodzą słowa,

Gdzie dotknąć, tam harfa jęknie,

O moja ziemia widmowa,

Snij pręknie.

Każdy skądś przecie pochodzi,

Ten z Krymu, ten z Walji, ten z Łodzi,

A ja pochodzę od młodu

Z białoskiewnego ogrodu,

Z doliny, z olszyn i z rzeki

Dalekiej.

Można mnie stamtąd wyrzucić

Można mi kazać nie wrócić,

Można mnie z żywych wymazać,

Wygnać, przepędzić za płoty,

Ale jak można zakazać

Tęsknoty?

Nie martwy księżyc tam wraca,

To cień mój wodę oztaca,

Nie woda w młynie tam szumie

To żal mój śpiewa jak umie

I woła gorzką pociechą

Jak echo.

I płynę, płynę po nocy

Do ciebie, kraju uroczy,

Tam chmurki drżały z czułością

A wiatr kotysał bezpiecznie —

O kraju mój, tyś mą miłością

Wiecznie.

Antyromantyzm

Nie kochać nam, nie marzyć, nie usychać w biegu
Nie roztkliwiać się gwiazdą, nie poddawać smutkom,
Nie odpływać od życia, jak łódką od brzegu,
Bo ani życie brzegiem, ani sen jest łódką.

Nie iść nam, niepoprawnym, w ogrody szczęśliwe
Między drzewa zbyt piękne, aby były żywe.
Nie słuchać nam podszeptów, których chce się słuchać
Gdy płynie cichy wieczór, gdy noc płynie głucha.

Nie ufać nam melodiom, słyszonym zdaleka,
Nie dowierzać księżycowi, czarów nie wywlekać.
Nie wczytywać się w ogień, nie szukać w popiele,
Nie kochać nam, nie marzyć, nie tęsknić tak wiele

Narody młode, stare i odmładzające się

Człowiek, jak i każda na ziemi żyjąca istota, po przyjęciu na świat wzrasta, rozwija się, osiąga wiek dojrzały, by następnie zestarzeć się i umrzeć. Takim jest prawo natury. Naród każdy analogicznie przechodzi podobne koleje losu: okresy swej młodości, rozwoju, dojrzałości, a następnie starzenia się i śmierci. Analogia ta chociaż nie łatwa i nie kompletna, w zasadniczej swej budowie jest istotna. W sprawie podjętego tematu podziału narodów na młode i stare, należy zdawać sobie sprawę, że o wiele trudniej niż wiek człowieka można określić, i tylko w przybliżeniu, wiek narodu. Na to potrzebna jest bardzo obszerna, skomplikowana i wielostronna analiza Demografia w dużej mierze ułatwia tę pracę, chociaż sama nie wystarcza. Umożliwia ona jednak ustalenie wielu elementów niezbędnych dla takiej analizy, a m. in. umożliwia ustalić zasadniczy fizyczny obraz badanej zbiorowości ludzkiej.

W tym celu ustala się m. inn. liczbę ludności według poszczególnych grup wieku, najczęściej w zespołach po 10, po 5, po 3, a nawet po 2 lata. Ze względu na szczupłe wymiary szpalt czasopisma nie możemy ich tu przytoczyć w całości (14-16 rubryk) i musimy zadowolnić się bardziej ogólnikowym zestawieniem. Podajemy więc następującą tablicę (ogłoszoną przez Huebera), określającą na każde 1000 ludności liczbę dzieci i młodzieży do 20 lat, starych ponad 60 lat i liczbę osób wieku dojrzałego.

Około 1931 roku miało na każde 1000 ludności :

Nazwa kraju	Powyżej do 60 lat	20 lat 60 lat	Poniżej od 20 lat
Rosja	488	446	66
Japonia	465	461	74
Jugosławia	439	479	82
Holandia	400	506	94
Włochy	395	497	108
Irlandia	389	485	126
Stany Zjedn. Ameryki	388	527	85
Węgry	372	531	97
Czechosłowacja	357	541	102
Szwecja	339	533	128
Szwajcaria	335	558	127
Anglia	324	561	115
Niemcy	308	582	110
Francja	304	556	140

Przeciętny czytelnik od razu skupi uwagę na liczbach osób mających od 20 do 60 lat, jako na wieku najbardziej wydajnej pracy, a więc na wieku najbardziej pożytecznym i potrzebnym dla społeczeństwa. Ale tak jest w istocie tylko dla chwili bieżącej, dla dnia dzisiejszego. O przyszłości społeczeństwa i o normalnym wzroście danej zbiorowości stanowi najwięcej najmłodsza grupa dzieci i młodzieży. Zresztą w życiu narodu dniem dzisiejszym jest życie jednego pokolenia. Chodzi więc nam teraz głównie o liczbę dzieci i młodzieży w każdej zbiorowości. Jeśli przeto stosownie do liczb pierwszej rubryki zechcielibyśmy podzielić naro-

dy na zasadnicze grupy posiadających na każdy tydzień swojej ludności ponad 400 dzieci i młodzieży, na posiadających od 350 do 400 i poniżej 350, więc na naszej tablicy najbardziej młodymi przedstawiałyby się nam społeczeństwa Rosji, Japonii i Jugosławii, najmniej młodymi: Francji, Niemiec, Anglii, Szwajcarii i Szwecji. Reszta pozostałaby w pośredniej, jakby pośredniej grupie. Im większy jest proporcjonalny zespół dzieci i młodzieży, tym większe posiada w rozmaitych kierunkach możliwości dana zbiorowość, zwłaszcza zaś możliwości rozrostu; może też poważnie wpływać na kształcenie się potencjału demograficznego.

Na podstawie przytoczonej tu bardzo ogólnikowej statystyki nie da się wykonać całkowitej oceny w omawianym zakresie, a tym bardziej klasyfikacji. Podziały więc nasze są tylko orientacyjne i wprowadzają niejako do dalszej analizy gruntowniejszej.

Analizę taką należy wykonać przy pomocy podziału ludności na grupy po 2 lata, po 3, 5 i 10 lat. Dla przykładu podajemy kilka narodów, których zespoły ludnościowe ujęte zostały w 10-letnie grupy.

Ludność niektórych krajów w/g 10-letnich grup wieku

Rok spisu	Grupy wieku w procentach						
	0,9	10-19	20-29	30-39	40-49	50-59	60 i w.
Rosja							
1926	25,5	23,2	17,6	14,9	8,8	6,3	6,7
Polska							
1931	24,9	18,2	19,3	13,3	9,4	7,1	7,8
Włochy							
1936	20,6	17,7	17,1	13,7	11,0	8,8	11,1
U. S. A.							
1930	19,6	19,2	16,9	14,9	12,2	9,7	8,5
Francja							
1931	17,3	13,1	16,7	14,7	12,8	11,4	14,0
Anglia							
1931	15,8	16,6	17,2	14,7	13,1	11,1	11,5
Niemcy							
1931	15,6	15,1	18,9	16,1	12,6	10,7	11,0

Podział na narody młode i stare podnosi zarazem zagadnienie starzenia się narodów które wyraźniej ujawnia się w zestawieniach rocznych dwuletnich i trzyletnich grup wieku.

Jeśli za początkowy punkt istnienia zbiorowości brać do obserwacji demograficznych weźmiemy powstanie organizacji państwowej, kiedy dana zbiorowość ludzka otrzymuje swój kształt, swój wymiar. W naszym orientacyjnym podziale wśród narodów młodych widzimy nie tylko młode w swoim życiu państwowym, jak np. Rosja (od X-go wieku Ruś, od XIV Rosja właściwa), Jugosławia, prowadząca życie państwowe od 6 — 7 wieków zaledwie, ale i Japonię, prowadzącą życie państwowe od 26 wieków, a więc o wiele starszą od najstarszych państw Europy (Anglii, Francji, Niemiec). Japonia pod tym względem zwróciła na siebie powszechną uwagę demografów. Wypowiadano nieraz opinię, że Japonia posiada oddawna umiejętność kie-

rowania sprawami demograficznymi swego narodu tak dalece, że potrafi dowolnie zmniejszać lub zwiększać nawet swój przyrost naturalny, że świadomie zdołała przez szereg stuleci utrzymać stabilizację liczbą narodu z pokolenia na pokolenie, zachowując tę samą ogólną liczbę ludności swego kraju (XV — XVIII stulecie) i to zachowując — jak to widzimy obecnie — młodość swego składu ludnościowego. Może więc umie podtrzymywać i przedłużać w narodzie okres młodości. Japonia znajdującą się obecnie w szeregu młodych narodów jest wyjątkiem pod tym względem. Zarazem stanowi przykład, że naród może przeżyć 26 wieków i zachować tyle siły biologicznej i młodości, co naród po przeżyciu 6 czy 10 wieków. Tak jak się zdarzają wyjątki z życiem jednostki, kiedy człowiek w 60 latach potrafi zachować tyle siły, zdrowia i energii (Churchill), co inny ma w wieku 35 lat.

Ten przykład starej Japonii 26 wieków, a zarazem silnej i młodszej stanowi w demografii cały problem.

Niektóre narody przejawiają dążenia do świadomego odmładzania swoich zespołów ludnościowych, szukają w tym celu odpowiednich metod i sposobów. Już dawniej Szwecja i Anglia rozpoczęły akcję w tym kierunku. Ostatnio gorączkowo do tego wzięły się Italia, Francja, a zwłaszcza Niemcy.

Pierwsze, najłatwiejsze poczynania w natalistycznym systemie, jakie poczęły stosować państwa odmładzające się oraz pragnące odmłodzenia się, to zwiększenie małżeństw w odnośnych państwie.

Nowo zawierane małżeństwa
na każde 10.000 mieszkańców

Kraj	1910	1931	1934	1935
Francja	158	156	142	136
Szwecja	122	140	155	164
Anglia	152	156	169	171
Węgry	182	176	178	168
Niemcy	159	160	224	195
Holandia	147	150	145	144
Hiszpania	142	148	120	121
Italia	158	134	147	132
Japonia	172	152	150	160

W tym kierunku właśnie zwrócono się w Italii, Francji, a szczególnie energicznie w Niemczech. Energiczna nowoczesna propaganda, rozmaite premie i dotacje na rzecz nowozawieranych małżeństw, a w Niemczech nawet presja np. na urzędników państwowych (kto nie ożeni się do 25 roku życia — traci posadę, lub kto w półtora roku po ożenieniu się nie będzie miał dzieci, traci również posadę i t. d.) dały wyniki dość prędko... Statystyka ujawnia wyniki tego rodzaju poczyniń. Miało to wkrótce wywrzeć wpływ i na przyrost naturalny. Istotnie w Niemczech, pod wpływem uprawiania tego rodzaju systemu natalistycznego, przyrost naturalny z 3,5 na 1.000 w roku 1933 wzrósł na 7,2 na 1.000 w roku już 1936. Wojna przerwała dalsze wyniki tej akcji. Ale i bez wojny wiemy na przykładzie Francji — o czym była mowa nieco wyżej — iż wyniki tego rodzaju bardzo energicznej nawet akcji są chwilowe, przejściowe i łatwo zanikające.

Na ostatniej tablicy już zwraca na siebie uwagę zstąpienie liczb nowozawieranych małżeństw w Niem-

czech, Italii i Francji, uprawiających intensywną propagandę w tym kierunku. Liczby są nie tylko chwiejne, w Niemczech, ale z wręcz przeciwnym wynikiem np. w Italii i we Francji, która pierwsza zaczęła uprawiać system natalistyczny tego rodzaju. Bardzo energiczne metody intensywnej propagandy, a zarazem wywieranie nawet presji na swoich obywateli (Niemcy) dają tylko narazie wyniki upatrzone i to nawet w dość prędkim czasie. Podobne są pod tym względem do niemieckiej metody «wojny błyskawicznej», w gruncie rzeczy są równie zawodne, działające tylko na krótki dystans. W ostatecznym wyniku zwiększa się nie tyle liczba dzieci, lecz liczba bezdzietnych małżeństw, co nie ma wpływu na przyrost naturalny. Analiza przyrostu wskazuje na to dobitnie. Sprawa właściwej metody w stosowaniu polityki natalistycznej jest bardziej skomplikowaną niż wydawało się to w pierwszym okresie akcji natalistycznej.

Myśli o przyjaźni

Prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie. Chroń mnie, Panie Boże od przyjaciół moich, bo od mych wrogów sam się chronić potrafię!

Lepiej z mądrym zgubić, niż z głupim znaleźć.

Dobre rachunki, dobrych dają przyjaciół.

Przyjaźń jest niemałą cnotą.

Śmierć wśród przyjaciół — jest świętem.

(Przysłowie malajskie).

W przyjaźni prawdziwej, o której mówić pragnę, dusze dwie mieszają się i stapiają jedna w drugiej, w zespoleniu tak powszechnym, iż zacierają, by już go nigdy nie znaleźć, szew, który był wzajemnie połączył. I jeśli nalegają dziś na mnie, żebym powiedział, czemu druha mojego kocham, czuję iż wyrazić to mogę jedynie, odpowiadając:

«Albowiem był to on, albowiem to byłem ja».

(Michel de Montagne).

Serce ludzkie jest wielkie; sprawy drobne błakają się w pojemności jego, jedynie sprawy wielkie (jak przyjaźń) zatrzymują się i w nim trwają.

(Blaise Pascal).

Jest najwyższa miłość zwyczajniejszą rzeczą, aniżeli przyjaźń doskonała.

(La Bruyere).

Przyjaciel prawdziwy — ze wszystkich dóbr jest największym, a zarazem tym z pośród wszystkich, o którego nabycie najmniej się dba.

(La Rochefoucauld).

Umysły nieśmiałe a poważne są najbardziej do przyjaźni skłonne — i najsolidniejsze.

Kiedy przyjaciele oddadzą nam usługę, uważamy, że są nam jej winni, gdyż są przecie przyjaciółmi, a zapominamy, że samej przyjaźni swojej nie są nam winni wcale.

(Vauvenargues).

Czyż to, co do przyjaciela mówimy, może kiedy wartością dorównać uczuciom, których przy boku jego doznajemy? Potrzebują czasem druhowie pozostawać bez świadków, aby móc nie mówić do siebie, kiedy wola.

(J. J. Rousseau).

LIST DO MŁODEGO PRZYJACIELA

I.

Przyjacielu! Gdy bierzesz do ręki jakąkolwiek gazetę, dziennik, tygodnik, broszurę i t. p., wśród szczerze zadrukowanych szpalt wiadomościami politycznymi, gospodarczymi, społecznymi, kronką dnia, — zauważysz, jeśli czytasz uważniej, i miejsca poświęcone literaturze. Przeczytasz tam wówczas felieton «traktujący» o wiośnie, to pochwałę ziemi, to nowele młodego pisarza, literacki reportaż o postępach reformy rolnej, to wspomnienia, jakieś fragmenty i opowiadania, o tym, co było i już nie wróci...

Wśród sterły tego materiału, pisanego prozą, zauważysz i wiersz: poezję. I o tym przede wszystkim, młody czytelniku i przyjacielu, chciałem ci napisać. Może pewne rzeczy wydadzą ci się wtedy jaśniejsze, może dojrzyysz to, co dotychczas miałeś niespostrzeżenie. Chciałem ci napisać o poezji. Nie tylko o poezji.

II.

Zapewne niejedną raz zatrzymasz się przed wystawą obrazów, jeśli przejdiesz tą cichą uliczką starego handlarza obrazów. Jeśli nie odważysz się wejść do środka, aby ogądać dokładniej — zauważysz także przez szybę wystawową obrazy, przedstawiające ludzi i ich sprawy codzienne, krajobrazy wiejskie, naturę — martwe przedmioty, albo zgoła obrazy, których w realnym, prawdziwym świecie zupełnie nie ma, chyba w sennej rzeczywistości marzeń. Zastanawiają cię barwy bogate, cienie subtelne, rozplanowanie całości, konstrukcja, światło — słowem: obraz ci się podoba, albo zastanawia cię niezwykłością, oryginalnością, czymś czego jeszcze nie widziałeś.

Czujesz, że człowiek, który stworzył taki obraz, musiał mieć niewątpliwie talent, bowiem obrazów takich przeciętny człowiek nie jest zdolny namalować. Na to trzeba mieć rzeczywiście talent. Takie malarstwo nazywa się artystycznym, osobę zaś uprawiającą ten rodzaj twórczości nazywamy artystą malarzem. Jeszcze przed pierwszą wojną światową artyści malarze nosili długie włosy, nierzadko także i brody, ale rzeczy te należą już do bezpowrotnej przeszłości.

Odróżnili się przez to od szarego człowieka, którego bóle i zmagania rzadko dostrzegali, zapalzeni skrajnie w swoją sztukę. Mówiło się nawet, że tworzą nie dla ludzi — a dla samej sztuki. Twórczość ich to sztuka dla sztuki. I poezja nie ustrzegła się od tego. Ludziom szarym mało przydatna — twórczość taka nie miała długiego życia... Umarła młodo. I nikt nie opłakiwał jej śmierci. Bowiem tylko to, co wyraża prawdziwe radości i smutki człowieka, co wychodzi z duszy ludzkiej, pełnej rzeczy nieznanymi i głębokimi, tylko to jest trwałe, jeśli artysta nada mu piękny kształt. — I tylko to, co z narodowych dążeń wypływa, co wychodzi naprzeciw dniom, które owiewają nas nurtem nowości, tylko to, co widzi nowego człowieka w nowym świecie — jest trwałe — jeśli artysta nada mu piękny i trwały kształt. Wszelkie «eksperymenty» robione na sztuce mijają bez echa.

Zarzucili też artyści te długie włosy zarozumiałstwa, bowiem talent nie «leży» we włosach. Te zewnętrzne oznaki «artyzmu» zarzucono a dziś tylko zagubieni naśladowcy tamtych umarłych czasów, straszą nas jeszcze tu i ówdzie rozwiną czupryną i fiuternym motylkiem u kołnierza.

III.

Przeprowadzasz się do nowego mieszkania, chciałbyś, by pokój był czysty, by przede wszystkim ściany były pomalowane. Wołasz malarza pokojowego, uzgadniasz cenę — a ten w przeciągu jednego lub dwu dni «wymaluje» ci ściany. Możesz to zresztą zrobić sam, jeśli będziesz chciał, albo z braku funduszy będziesz musiał podjąć się tej — nie twojej pracy. Gdy będzie to robił malarz, zauważysz, że naprzód ściany oczyści a potem pobieli je wapnem albo kredą, jeśli będziesz chciał, by biel była jasna i gładka, — potem rozcieńczy w wiadrze żądany kolor i pociągnie nim ściany; jeśli jeszcze będziesz chciał mieć pokój «wzorzysty» to i to nie sprawi malarzowi kłopotu; gumowym wałeczkiem ubierze ci ściany w piękny wzór, złożony z artystycznie złożonych kresek lub kwiatów-liści. Gdy malarz nie będzie fuszerem — pokój będzie piękny.

Miedzy pracą malarza-artysty a pracą pokojowego malarza zauważysz pewne podobieństwo: obaj malują, a przecież pokojowego malarza nikt nie nazwie artystą, choćby najpiękniejsze wzory kładł na ściany, ponieważ wyniki jego pracy zależne są tylko od rzemiosła, które każdy człowiek może łatwo opanować. Takie malarstwo nazywamy malarstwem stosownym. Istnieje więc malarstwo artystyczne, jako wynik artystycznej twórczości wypływającej z przeżycia i talentu twórczego — i malarstwo stosowane, jako wynik rzemiosła, służącego codziennym sprawom.

Taki sam podział przeprowadzić możemy i w muzyce i rzeźbie i poezji — oczywiście, że w tych sztukach są granice między tym, co artystyczne a tym co stosowane, nie występują tak jaskrawo i wyraźnie. Ustalanie tych granic, które ustawicznie będą się przesunęły to w tę, to w tamtą stronę, będzie trudniejsze, ale mniej więcej podział ten da się utrzymać.

IV.

Zbliżamy się powoli do tego tematu, który poruszyłeś w rozmowach ze mną, a który ciągle pasjonuje cię, ciągle jednak jest dla ciebie niezrozumiały, choć bliski. Mówimy o poezji. Ileż to u nas pisano już o poezji! Ale, gdybym ci wyciął z dawnych gazet jakiś artykuł, traktujący o tej sprawie, pisany przez tych zarozumiałych pięknoduchów i krytyków — niebyś z tego nie zrozumiał. Ty jesteś młodym kolejarzem. Gdy spojrzysz na stację ze swojej kontrolnej budki, gdzie pełnisz służbę, czujesz dokładnie mechanizm ogromnego zbiorowiska torów, zwrotnic, mijalni, objazdów, sygnałów świetlnych — czujesz, jak stacja tętni. Oto wjechał pociąg na tor jedenasty, lokomotywa dyszy, semafor zamknięty

na zachód; na trzynasty wjeżdża towarowy. Dzwonisz dyżurnemu ruchu, by podciągnąć, bo na tzw. «ukrysie» stoją jeszcze ostatnie wagony. Końcowy ściąga sygnały świetlne z ostatniego wagonu. Idzie właśnie w stronę twojej budki kontrolnej... Po co dalej o tym pisać. Przy następnym spotkaniu opowiesz mi o nocnej służbie. To mnie interesuje tak — jak ciebie poezja. Czytasz ją w czasopiśmie i mówisz, że nie rozumiesz. Niechby było jasne wszystko, jak puls stacji kolejowej.

V.

Poezja. Jakież to szerokie pojęcie! Nasamprzód poezja — to wiersz, wyróżniający się od prozy odrębną rytmiką, rymem; mową poetycką. Poezja może być też artystyczna i stosowana. Ustalenie granic, co jest stosowane a co jest artystyczne, jest dosyć trudne. Rozumiesz, że będziemy się zajmować tylko tym, co stanowi poezję artystyczną. Wszystko, co stoi poza granicami sztuki, opuścimy.

W ocenie utworów poetyckich, przy wartościowaniu ich, posługujemy się kryteriami estetycznymi. Co to znaczy? Znaczy to, że tylko to uznajemy za poezję, co jest piękne. Estetyka jest nauką o pięknie. Uważasz, jak trudne są do ustalenia te granice, rozdzielające artystyczne od stosowanego, i jak różnorakie i sprzeczne w sobie, nawzajem wykluczające się.

Każda szkoła poetycka ma swoją własną normatywną poetykę, własne kryteria estetyczne, które chciałaby uogólnić — i tylko według niej oceniać zjawiska poetyckie. Stąd to wypływa, że ten sam utwór poetycki tak różnorodnie może być oceniany.

Poeta może pisać o czym tylko chce, tematyka sama nie znaczy. Chodzi tylko o to, jak to jest napisane. Piękno poezji leży w formie, w pięknej mowie poetyckiej.

VI.

Przyzwyczajłeś się uważać za poezję tylko to, co ma rytm i rym. Nie jest to słuszne! Często pisane prozą fragmenty — mogą mieć pełny ładunek poetycki. Takie często liryczne, poetyckie obrazy daje np. Żeromski, który był mistrzem w tworzeniu obrazów lirycznych — będąc prozaikiem. Odwrotnie, wiele wierszy nie ma nic wspólnego z poezją, poza zewnętrznymi, formalnymi akcesoriami, jakimi są strofka, rytm i rym. Piękno wiersza leży w pięknej mowie poetyckiej, której elementami prócz rymu i rytmu są jeszcze tzw. chwytły poetyckie, — które starzej się i odmładzają — albo zgoła rodzą zupełnie nowe.

Młodzi poeci niechętnie posługują się formą strofowego wiersza, uważają bowiem (czy słusznie?), że te formy wiersza już się przestarzały, że nowy czas woła o nową formę. Świat przechodzi obecnie przeobrażenia na wszystkich odcinkach życia — i poezja nie może być w tyle, przeciwnie — musi je wyprzedzać. Poeci tzw. «Awangardy» (to jest ci postępowi, idący niejako na czele) wzgardzili dawną stroficznością wiersza — formę wiersza zmienili do tego stopnia, że wiersz ich graficznie wygląda niekiedy jak pełna proza. Czołowym nowatorem, poetą tego kierunku jest Julian Przyboś.

Przeciwna grupa poetów, wyrosła z dawnej poezji, uprawia nadal poezję, którą znamionują wszystkie cechy tradycyjnego stroficznego wiersza. Poetów tych «Awangarda» nazywa pogardliwie «strofkarzami», «ka-

taryniarzami» z powodu jednolitego; monotonnego rytmu, przypominającego katarynkę. — Oficjalnie tradycjonalistów znamy jako poetów «Skamandra» Nazwa pochodzi od pisma, jakie owi poeci wydawali. Czołowymi i wybitnymi zarazem poetami tego kierunku są: Kazimierz Wierzyński i Julian Tuwin. Wielu poetów stoi «na pograniczu», łącząc w swojej twórczości elementy obu kierunków.

Poglądy społeczne poetów nie pokrywają się z tym podziałem. Rewolucyjny poeta Władysław Broniewski, jest tradycjonalistą, jeśli chodzi o formę wiersza.

I tu poruszyliśmy nowy temat. Lecz o tym porozmawiamy kiedyś indziej. Więc: do widzenia, przyjacielu.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ.

Do żony

*Ten wiersz o kwiatach i jeziorach
To jest dla ciebie ukochana
Abyś słuchała jak w szuwarach
Tajemnie śpiewa vox humana.*

*Bo są jeziora i są kwiaty
Pod powiekami śpiące w głuszy
I czasem zabrzmiał głos skrzydlaty
W ukryciu wodnych pióropuszy.*

*I kiedy milczą wszystkie chóry
I ziemi krwawy dyszy opar
Brzmi jeszcze głos poety, który
Walącym w dąb się wichrom oparł.*

*Brzmi jeszcze czysta żalna nuta,
Która do duszy ci przenika
I śpiewać będzie zawsze póty
Póki się rodzi świat — i znika.*

*Ten głos jest cichy i nieśmiały
I bije w niebo jak skowronek,
Ale porusza nieba skały
I powstający błądy dzieł.*

*Ach, nie ostatnim, anim pierwszy,
Któremu na to serce dano,
Aby zaklinać w małostkę wierszy
Olbrzymi pogłos — Vox Humana.*

Podobnie jak w nas żyje nasz ojciec, dziad i pradziad, tak samo w narodzie żyje i trwa jego przeszłość, prężą się siły, czyny, żądze i idee naddziadów, wieczyście wstające z martwych. Podobnie jak drży serce wobec grobu rodziców, drży serce wobec niezgłębionej przeszłości narodu.

St. Żeromski.

ZBAWCA BRAZYLII

Poniższa historia jest znakomitym przykładem, jak ciężka jest walka z ludzką tępotą. Z jakim trudem wszelkie nowe idee docierają do świadomości szerszych mas i jak namiętnie są one przez nie zwalczane pod kierunkiem sprytnych aferzystów, karierowiczów czy też ludzi, zazdrosnych o powodzenie innych.

Pod tym względem nic się, niestety nie zmieniło i w czasach dzisiejszych. W epoce samolotu, radia i telewizji, oraz wielkich idei lecz małych ludzi.

Aczkolwiek umysł ludzki jest dzisiaj bardziej przystępny dla wszelkiego rodzaju postępu, brutalna siła, poparta pieniędzmi, posiada możliwości zahamowania najbardziej nawet czystych, ludzkich idei i przedsięwzięć.

Na pocieszenie musimy jednak stwierdzić, że jednak w ostateczności dobro przeważnie triumfuje nad złem. Wymaga to jednak wiele czasu, a jeszcze więcej... cierpliwości.

W roku 1895 europejskie towarzystwa okrętowe szeroko reklamowały «podróż do rzeki La Plata z pominięciem portów Brazylii». Okręty opuszczające Argentynę głosiły: «ten parowiec nie zawija do Rio de Janeiro ani do żadnego z brazylijskich portów». Bez tych ogłoszeń okręty musiałyby płynąć puste, albowiem wszyscy wiedzieli, że... Brazylia jest zakażona..., że Brazylia — to kraina śmierci.

Fakty mówiły same za siebie. Włoski statek wojenny, zakotwiczony o pół mili od Rio, w pięć dni pochował w falach morza swego kapitana i 223 członków załogi. Przyczyną była żółta febra.

Żółtą febrę sprowadził do Brazylii w 1849 r. amerykański szkuner, który zatrzymał się w Bahii z przypadkiem tej choroby na pokładzie. Tubylcy szybko zaraził się i choroba zaczęła się gwałtownie rozszerzać.

Pomiędzy 1891 a 1894 r. było w Rio 15.000 śmiertelnych przypadków. Jeszcze w 1901 r. liczba zejść śmiertelnych dochodziła do 3000. W ciągu tych 50 lat terroru, brazylijski departament zdrowia napróżno szukał rady wzdłuż i w szerz globu. Wszystkie próby zwalczania plagi speliły na niczym. Ci, którzy cudem wychodzili z choroby, stawali się ze względu na swą osłabioną strukturę fizyczną, problemem dla państwa. Handel upadał a przemysł i własność prywatną spotykały ciosy, przechodzące wszelką wyobraźnię.

W 1902 r. prezydentem Brazylii zostaje wybrany Rodrigues Alves, który proponuje, by na ministra zdrowia wyznaczono lekarza, mogącego stanąć do walki z plagą żółtej febrы. Ktoś zaproponował doktora Oswaldo Cruz.

«Któż to jest ten Oswaldo Cruz?» — spytał prezydent swego syna, w tym czasie studenta szkoły medycznej. Oczywiście zająśniały: Dr. Cruz był to młody, odważny lekarz, który poradził sobie z podobną plagą w Santos przez wytopienie szczurów. Jego praca na te-

mat serum przeciwplagowego była już sławną w Europie.

Oswaldo Goncalvez Cruz urodził się w Sao Luiz do Paraitinga w południowej Brazylii, jako syn ubogiego wiejskiego lekarza. Był on skromnym i cichym chłopcem. Gdy w dwudziestym roku życia robił dyplom w szkole medycznej w Rio, okropnie obawiał się ustnych egzaminów.

Skromność jego nie przeszkodziła mu jednak do zawarcia związku małżeńskiego w 21-ym roku życia. Za żonę pojął uroczą i bogatą Amelię da Fonseca, której ojciec w wianie ślubnym dał mu fundusze na wybudowanie niewielkiego laboratorium klinicznego w piwnicy swego domu. Było to pierwsze tego rodzaju laboratorium w Rio.

W 1896 r. młody Dr. Cruz udał się do Paryża w celu studiowania bakteriologii i medycyny społecznej w Instytucie Pasteura. Tam zainteresował się eksperymentami Carlosa Finlay'a oraz jego teorią, głoszącą że moskity są roznośicielami żółtej febrы.

Wkrótce po powrocie do Rio, katastrofa w jakiej kraj jego się znalazł, dała mu pierwszą sposobność do walki. W Santos wybuchła epidemia t. zw. plaga buboniczna (jest to straszna, w przeważających wypadkach kończąca się śmiercią choroba, znana w medycynie pod nazwą poliadenitis maligna. Jest ona spowodowana zarazkiem zwanym Pasteurella pestis. Zaczyna się ona dreszczami, po których szybko nadchodzi stan ogólnej prostracji podobny do tego, jaki mamy w tyfusie. Często występuje razem z delirium i silnymi bólami głowy. Przeważnie kończy się śmiercią) i szybko poczęła się rozszerzać i w innych miastach. Dyrektor Instytutu Higieny zatelegrafował do Instytutu Pasteura o przesłanie za wszelką cenę francuskiego specjalisty do Rio. Francuzi nie mogli się zdecydować. Wyjazd do Brazylii wtedy równał się samobójstwu, a zresztą «dlaczego Brazylia nie może skorzystać z usług swojego obywatela doktora Cruz?» Odelegrowali więc szybko, że «nie znają nikogo bardziej odpowiedniego do walki z epidemią, jak Dr. Oswaldo Cruz».

Dr. Cruz znalazł się z powrotem w swym kraju. Pierwszą jego pracą było założenie małego laboratorium dla produkcji serum, na farmie w Manguilhos, przedmieściu Rio. Wyprodukował nawet małe szklane ampułki sztuką, którą posiadał podczas nocy spędzanych w paryskiej fabryce szkła. Założył szkołę dla przygotowania studentów i lekarzy do walki z epidemią bubonicznej plagi. Pod koniec 1900 roku pierwsze wyprodukowane w Brazylii serum oraz szczepionki, oddane były na usługi kraju.

Kiedy Cruz nie otrzymał pomocy ze strony miejskich czynników oficjalnych dla swego planu walki ze szczurami — ogłosił on poprostu, że będzie płacił za każdego dostarczonego mu szczura. Wkrótce ludzie zaczęli się zgłaszać z tonami zabitych szczurów, niektórzy nawet

z dość odległych prowincyj. W krótkim czasie plaga ta została przez niego opanowana.

Trzy lata walki z epidemią oraz wysiłków nad wynalezieniem serum dały mu doświadczenie, tak potrzebne dla jego późniejszej, pełnej zawodów pracy.

Przed przystąpieniem do swego nowego zadania likwidacji epidemii żółtej febrzy, Cruz wymusił na prezydencie obietnicę, że będzie miał możność zastosowania wszelkich środków, jakie uzna za stosowne do walki z żółtą febrą, oraz że zapewnione mu będą do tego celu odpowiednie fundusze. Wzamian za to przyrzekł «oczyszczyć Rio z żółtej febrzy w przeciągu trzech lat».

Zaczęły się lata walki. Walka toczyła się nie tylko z moskitami, roznośicielami choroby, ale również z innymi, potężnymi nieprzyjaciółmi. Konserwatywne koła medyczne były oburzone, że do tak wielkiego zadania powołano młodego i nieznanego lekarza. Gazety i różnego autoramentu politycy oskarżali prezydenta i Cruza o popełnianie nadużyć.

A Cruz tymczasem pracował. Uczniów szkół państwowych powołał do roznoszenia ulotek ze zrehabilitowanym przez niego «kodeksem sanitarnym». Kodeks ten mówił jasno, w jaki sposób należy walczyć z febrą. Nie dezynfekcja ubrań i bielizny chorych, ale niszczenie moskitów i ich miejsc rozmnażania się może tylko wydać owoce. Ludność mało jednak reagowała, a brak współpracy zmusił prezydenta do wydania i przeforsowania siłą odpowiednich ustaw na Kongresie.

Wreszcie w 1904 r. zorganizował Cruz swą sławną «brygadę moskitową». Potrzebował 1200 ludzi, zdołał zgromadzić zaledwie 85, a później 235.

Ubrani w khaki mundury, uzbrojeni w siatki oraz rozpylacze, członkowie brygady spotykali się z cieniem.

W ciągu następnych trzech lat «brygada» wykonała 512.000 dezynfekcyj w przeszło 65.000 domach w Rio. Półtora miliona rezerwuarów oczyszczono i utrzymywano w stanie czystym. Około 3000 budynków ewakuowano, a całe bloki miejskie wysadzano dynamitem. Mieszkańcy Rio zaczęli się buntować. Dom doktora Cruz został oblężony przez rozhisteryzowane tłumy, a on sam zmuszony był ratować się ucieczką. Kongres wrzał. Gazety coraz to dolewały świeżego paliwa do ognia. Wreszcie, by ratować rząd z nieznoszonej sytuacji, Dr. Cruz zgłosił rezygnację.

«Zostań, — padła odpowiedź prezydenta, «jeśli mamy paść, padniemy razem».

Jednoczesna walka z ospą rozszerzyła wojnę. Cruz omal że nie spowodował rewolucji przez zarządzenie przymusowego szczepienia ospy.

Jeden z senatorów — profesor Szkoły Merycznej orzekł, że urzędnicy sanitarni, którzy zechcą szczepić jego rodzinę, będą musieli przejść po jego trupie. Biuletyn, wydany przez jedną z partij politycznych, twierdził, że prezydent Alves i Cruz są antyrepublikanami «i że robią z obywateli króliki doświadczalne dla swych egoistycznych praktyk czarnoksiężskich». Petycje wzywały do rewolucji. Żądanie rezygnacji Dr. Cruz było powszechne.

«Człowiek, jakim jest Cruz, zastąpiony być nie może» — była odpowiedź prezydenta.

Pod dowództwem generała, senatora oraz dwóch członków kongresu, grupa uzbrojonych kadetów szkoły wojennej oblegała pałac prezydenta. Wojska rządowe jednak odparły atak.

W międzyczasie liczba wypadków śmierci z powodu żółtej febrzy zmniejszyła się z 584 do 48. Jak tylko metody doktora Cruz zaczęły wydawać rezultaty, opinia publiczna uległa zmianie. W lutym 1907 roku na miasteczku przez przyrzeczonym terminem, Dr. Cruz oświadczył prezydentowi, że Rio jest wolne od żółtej febrzy.

Przed rezygnacją ze swego stanowiska Dr. Cruz, jako dyrektor departamentu zdrowia — rozszerzył swą pracę na całą Brazylię. Malaria w krótkim czasie została opanowana. Ilość wypadków śmiertelnych z 1200 w 1902 r. spadła do 176 w 1911 r.

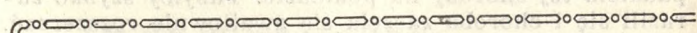
Ciężka epidemia ospy w 1908 roku wykazała ludności Brazylii wartość zbawiennych metod walki, zastosowanych przez Dr. Cruz. Wdzięczna ludność była gotowa teraz do zrobienia wszystkiego, czego Dr. Cruz od niej zażąda.

Prezydent mu zaproponował spełnienie każdego jego życzenia, Dr. Cruz poprosił tylko o rozszerzenie jego małego instytutu na farmie w Manguinhos.

Tam gdzie siedem lat temu założyciel instytutu tłukł z rozpaczą ampulki ze szczepionką, powstał wspaniały instytut patologii eksperymentalnej jego imienia — instytut przystosowany do nowoczesnych badań na polu serologii. Najbardziej znienawidzony człowiek Rio — stał się teraz jego honorowym obywatelem.

Dziś instytut doktora Cruz oprócz licznych laboratoriów zawiera szpital dla przypadków chorób tropikalnych. Instytut zdołał wydać już przeszło 2000 prac z dziedziny walki z chorobami zakaźnymi. Przeszło dwieście rozmaitych szczepionek zostało wynalezionych, z tych najważniejsze przeciw tężcowi, dyfterii i dysenterii. Zaszczyty poczęły płynąć z najpoważniejszych ośrodków medycznych świata. Dwaj synowie doktora Cruz kontynuują pracę swego ojca. Oswaldo Cruz junior jest profesorem bakteriologii a Walter Oswaldo Cruz profesorem hematologii.

Dr. Cruz zachorował nagle w 1915 r. Prawie ociemniały, cierpiąc na chorobę serca i nie mogąc chodzić o własnych siłach, zmarł w lutym 1917 r. licząc za edwie lat 44. Rio okryło się powszechną żałobą a cała Południowa Ameryka złożyła hołd u trumny jednego z najbardziej heroicznych bojowników z epidemią, jakiego zna historia medycyny.



Naród jest tem, co w zbiorowiskach ludzi na góbie ziemskim jest najbardziej istotnego, najściślej prawdziwego. Uczucie miłości dla narodu swego jest niepojęte a niespożyte, tak samo, jak uczucie miłości dla rodziców i rodziców dla dzieci.

Są słowa, które przeszywają serca, lecz bez których serce byłoby pustynią nienawiedzaną nawet przez boleść; jeden z nich: Ojczyzna. Jakkolwiek srogą i niesprawiedliwą byłaby dla nas Ojczyzna, nie przestaje być Matką, na którą gniewać się i której zasług odmawiać nie wolno.

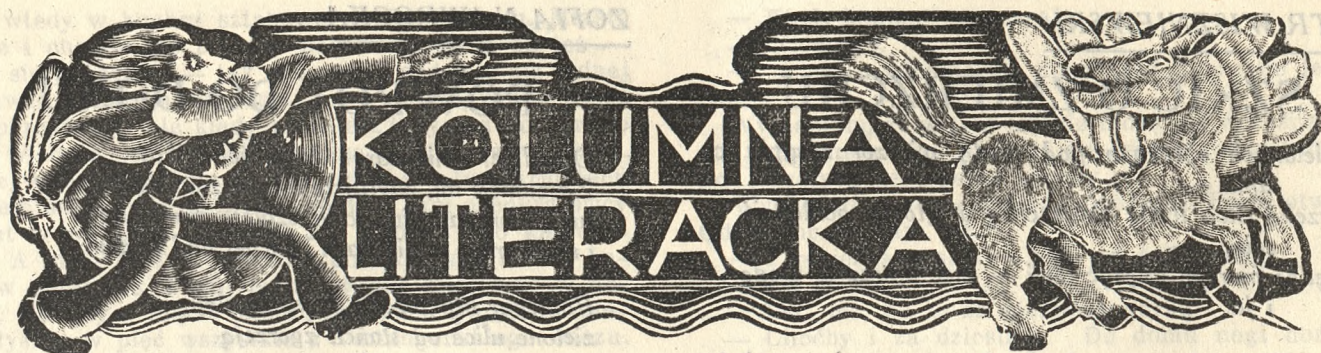
Eliza Orzeszkowa.

Miłość przychodzi jak żywioł, daje szczęście, albo łamie życie.

Henryk Sienkiewicz.

Shczęście jest tylko jedno, w wielkiej ciszy wielkiego kochania.

Walerian Dzięduszycki.



JAN WINCZAKIEWICZ

EMIGRANT

Oto przedziwnym losem,
upartym fatalizmem
straciłem wszystką młodość
i wszystką mą ojczyznę.

Zostały mi „pamiątki”
i stare fotografie,
których treść wytłumaczyć
tylko ja sam potrafię.

I został mi papieros,
pantofle, szlafrok, fotel —
i starych towarzyszy
zebrania. Co sobotę.

PIOTR WISZNIEWSKI.

POEMAT O NIEZNANYM ŻOŁNIERZU

1.

Wicher szarą jesienią gdzieś rozdmuchał ranek,
przy drogach płacz otulał zgarbionych jarzębin.
Niebo gaśło i milkło. Pola stygły w ranach.
Na strzaskanych armatach śmierć ostrzyła zęby.
A męstwo, które los ci przytroczył do pasa —
wędruje z tobą borem, lasem...

Las zawodził etiudę zmarłych krajobrazów —
niech bunt w nich wskrzesza duszę! niech w siłę uwierzą!
Las jodłowy zielony batalion na straży —
wciąż szumi: pocóż w domu umierać żołnierzom?

I przeszłość wypieszczona baśnią kolorową —
nie powróciła więcej do dzieciństwa zdroju.
Wilkiem żrącym żelazo szedłeś leśnym rowem,
odliczając różaniec nabożów.

2.

Ziemia gniewna dyszała płucami gruźlików.
Noc bezsenna wygnana z leśnego igrzyska
czatowała na brzytwach szyn...
Ogień krzepnął w twych rękach na stanowisku.
Mróz, mróz syczący ścigał pociąg wojowników
w buchającą gwiazdami przepaść min!

Brzask toczył śnieg i grzebał białe złe tygrysy.
W środku mapy sztab kreślił front.

Wśród nocnej ciszy
nie w szopie się rodziło w pokłonach trzech króli,
lecz w strzępach ciał krwotokiem zwalonych za drutem —
serce wzgardą i zemstą i buntem zatrute!

Słyszysz, jak sie niebiosa cieszą świstem kuli?
traby jeruchońskie dział? etiuda krwawych łun?
W oczodołach twych słońce wolności przywabił
BUNT!

wściekły szarpiący krwią na stali BUNT!
ręce na drutach krzyżem wzniesione klną — zabij!
... ręce, ręce żar w drutach, głowa ogień krematoria...

Patrz, jak za ścianą dymu MIASTO BUNT rozpalili!
Las huczy grzmi kurzawa pocisków
i krwawą piersią woła, gdzież się oddalił?

Aniołowie brazowi z obłoków ognistych
zlatywali z okrzykiem: Victoria!

3.

Pod bramami Tryumfu na placach Europy —
tam nie pójdziesz rotą prezentować broni.
I w pochodzie sztandarów w tańcu końskich kopyt
z trybuny generał nie poda ci dłoni.

Nie uirzusz tam swych znaków ani towarzyszy
z uśmiechem Wolności zatkniętych do łuf.
W poszumie oklasków nigdzie nie usłyszysz
swojego imienia i odważnych słów.

Pójdziesz za twego sumienia rozkazem —
kędys twoja droga — borem, lasem...

SZKIC O ZMIERZCHU

W zielonych obłokach pod wodą wieczór zasypia co
dnia —
nad rzeką dwa tłuste oboje chcą w głowie ochłodzić
wino —
na wędkę murzyn księżyc łowi — piec patrzy w wodę
i ja.

Szepty klonów kwitną gwiazdami, po szeptach westchnie-
nia płyną —
— wojna — skończona — dwie rzucono — gdzieś tam
— Japonia — aha! —
murzyn zęby rozsypał w wodzie — pies perlistą łyka ślinę.

W gęstwinie ruszałki liliowe w lubieżnych pluszczą się
snach —
— dwustokilowe — atomowe — czarni będą — żółci
zginą —
murzyn świętojańskie robaczki gasi — pies marzy — i ja.

A za rzeką wrony wystraszył wiatr pod zieloną pierzyną —
— koniec świata — to mała strata — dokąd idziesz —
jeszcze dwa —
murzyn się oskrzydlił wronił i pies w chimere się zwinął.

Noc wkońcu przyszła i rękawem pościarała szminkę
dnia —
dwoiły się cienie w uliczkach, w latarniach szumiło
wino —
a na brzebu ze mną została — rozmarzona dola psia.

POWRÓT DO DOMU

O cudzie! o niewiary! O radości dzika!
Zasumcie mi, zagrajcie ospale żywioły!
już powracam, już jadę, szaleję, pomykam
i niebo mam w piersiach i wicher nad czołem.

Pobiegnę błyszczącą strzelistą aleją
zielone ulice od słońca zgorzeją
a lipy szumiące a lipy gorące
wyciągną ramiona spęczniałe nadzieją.

Nie stanę przy bramie, lecz furtkę wyłamię
o sryby tłuc będę wartkami pięściami —
Wybiegniesz, zdumiejesz i krzykniesz, zachwiejesz —
w szczęście jak błękit wytryśnie nad nami!

Już słyszę Twe słowa cudowne, pijane
wirują mi w oczach słoneczne obrazy;
i ściskam podróżnych zdumionych, nieznanych:
„wracamy! wracamy! Szalejmyż więc razem!

O chwilo serdeczna, dojrzała nareszcie
godzino powrotu, godzino zawrotu —
wezbrana latami bez domu, bez wieści —
opita marzeniem, nabrzmiała tęsknotą!...

Przubyłam, I niebo jak dawniej się świeci
pobiegłam lipową, najbliższą mi drogą...
Wtem obca kobieta mi wyszła naprzeciw
spytała (mój Boże!...)

„przepraszam, do kogo?!...”

MAŁGORZATA HOŁYŃSKA.

SIEDEM KRÓW CHUDYCH

(Fragment powieści -- dokończenie)

Anastazja mruga na Olę: Olga nie namyśla się, wy-
biera pierwszą z brzegu historię o tarakanie, «co to
wszedł w jej ucho i «gugieł» jak maszyna. Doktor, u-
ważacie, powiedział, że gdyby się z tym ze dwa dni
opóźniła, tarakan rozszedłby się po uchu i wyjadł jej
cały mózg».

— Aleby się nie najadł — przygaduje Kława. Siedzi
nachmurzona. — Wiecie, że znów gadają o wyjeździe?

Ile razy zbliża się front, mówią o ewakuacji obozu.
Krystyna ogarnia miłośnię nędzny sprzęt pokoju:
«Ledwie ludzie sobie czegoś nażyli, już w drogę. Żal
zostawiać... Tak prędko nie zdobędzie się ani b'aszane-
k od marmolady, ani pótek dyktowych, ani kartonowych
pudełek na śmiecie... A w marszu nie poradzi się wszy-

stkiego... Komendant też pewnie zły, z powodu przeno-
sin...»

— Zły on nigdy nie jest, a gorszy od gadziny —
rzuca, wychodząc, Kława.

Olga czeka na to niecierpliwie; może teraz zdjąć
wielką, płową wesz z czoła Rozalii. Nie chciała tego
robić przy gościu, a tak ją ta wesz korciła, by rozduś-
ić i usłyszeć przyjemny trzask pod paznogciem.

— To nie moja — tłumaczy się Rozalia.

— Do jednej wszy przyznać się nie chcesz? — śmie-
je się Lidia — ja ich miałam na miliony. Czy wierzyć,
naprzykład, że można szczury zaczarować grą na flecie
i wyprowadzić z wioski? U mnie zdarzyło się coś po-
dobnego ze wszami. Ktoś je musiał zamówić. Pracowa-

łam wtedy w kuchni sztabowej w Heidelbergu. Miasto ładne i chciało się po nim pochodzić. Kina są też — chce się popatrzeć — tak dawno nie widziało się żadnej migawki. Traktują nas lepiej niż w obozie, wolno wyjść bez przepustki. Ale kiedy pójdziesz? Tyrasz od 5 rano do 9 wieczór, jedno popołudnie na tydzień «wychodne». Samej strach pójść na miasto, zdaleka w tych szmatach obozem śmierdzisz. Mówiono nam, że inni obcokrajowcy nawet tramwajem ośmielali się jeździć i do kin chodzić. A tu — siedz w piwnicy, bo i kuchnia i nasz pokój w suterenie. Pokój ładny, wannę mieliśmy w pokoju, siusiały w nią te idiotki, nie macie pojęcia... Mieszkałyśmy w pięć wszystkie z Vaihingenskiego obozu. Kłóciłyśmy się z byle powodu, a częściej bez powodu. Jakże to było wstrętne, babranie się w tłustych garnkach, przykro wspomnieć... Jedzenie... takiego, prawdę powiedziawszy i przed wojną nie widziałam... dla oficerów OT. Tylko, że przy tej harówce niczego się nie chciało... jeno spać i czasem na słońce wyjść. Na złość, takie ładne lato. Więc z tych płaczów naszych i zmartwień oblaży nas wszy. Z kłopotów — powiadają. Myjemy głowy codziennie — nic nie pomaga. Od gnid aż biało. Grzebieni gestych nie mamy, jedna druga iska. Nic. Szeffowej łkam się powiedzieć, by do doktora nie wysłała, a doktor włosy zetnie... Uradziłyśmy do apteki iść i prosić jakiej maści czy płynu. Przychodził do sztabu goniec, Belgijczyk, podkochał się w Marusi. Prosimy: «Namów go Marusią, daj flaszkę, niech przyniesie... Jeśli się wstydzisz, powiedz, że to dla nas...» Chłopak obiecał wszystkie apteki... albo nie było, albo recepty potrzebowali... Taki to kulturalny kraj. U nas, na każdej stacji była odwyszalnia. Sytuacja wprost bez wyjścia. I — co powiecie — naraz giną wszystkie wszy w mojej głowie. Jakby je ktoś zamówił. Zupełnie jak szczury, uważacie.

— A wiesz ty, że szczury rzucają statek, co ma zatonać?

— Co to znaczy?

— Lepiej nie pływać, Lidia, zatoniesz.

— Kiedy ja pływać nie umiem. Toż mówiłam wam, że w wielkim mieście żyłam i rzeki blisko mi było.

— Ano, to w porządku — stwierdza poważnie Olga — Proszę. Proszę. Któż tak długo puka?

Dyskretnie wsunęła się do pokoju Smirnowa. «Już leżą? Wcześniej się u was wieczorynka skończyła».

— Dla nas zawsze jednakowa wieczorynka. — Olga nie lubi Smirnowej. —

— Wszystko się kończy — zauważa niebanalnie Smirnowa.

— Ze śmiercią — mruży nieprzyjaźnie Olga. Odwraca się do ściany, nieciekawa nowin Smirnowej.

Dzisiejsze nowiny Smirnowej przechodzą ją samą. Nie nie powie, nim nie wymaca z zapaska spódnicy białoczerwonego papierka. «O». Papierek zwinięty na wszystkie możliwe części. Rozprostowuje go na kocu ręką czarną od pracy. Krystyna stoi obok uważna i radosna. «No, czytaj, Margusza — ma okazję pochwalić się moją znajomością czytania. Ulotka, zrzucona dziś z samolotów ma portrecik Eisenhowera. «Czy to Ruski — pytają kobiety — i, najważniejsze, kiedy skończy się wojna?»

Jeśli ulotka na to pytanie nie odpowie, przestanie mieć znaczenie. Alianci nawołują Niemców do złożenia broni... wzięli to i tamto... zapowiadają bombardowanie miast i ośrodków przemysłu...

— Kiedy koniec — nacierają.

— Niedługo.

— A czy o wiosnie nie nie piszą? Zobaczą jeszcze raz.

Wyjaśniam, że w tym tempie może już wczesną wiosną... Smirnowa spodziewała się czegoś konkretniejszego. Krystyna jest pełna otuchy.

Wychodzimy — ani jednego strażnika. Furta otwarta. Gdzie chcesz, tam idź.

— I gdziebyś poszła — pyta od ściany Olga.

— Do domu.

— Leć, leć, bo to za pierwszą górka.

— Choćby i za dziesiątą. Do domu nogi doniosą. Tranty się zostawi...

— Ale worek machorki na plecy weźmie. Aż gęsto, tak kurzysz.

Krystyna gasi w połowie swego papierosa i wychodzi odprowadzić Smirnową na koniec korytarza.

Frau Staab jest katoliczką. Wie, że należy mi się kościół w tę jedyną niedzielę na miesiąc, gdy jesteśmy wolne od pracy. Poduszka Frau Staab, czarna atlasowa, haftowana niebiesko leży na drugiej ławce od wejścia do mojej dyspozycji. Otwieram ciężkie wrota «Kirch», bojąc się tłumu wewnątrz.

Tłumu w kościele nie ma. Trochę kobiet po ławej, po prawej kilku starców i chłopców. Widocznie reszta Hammersheimu — to ewangelicy. Pachnie niedzielnym szuwaksem, starymi wzdychaniami, niemiecką modlitwą. Proboszcz z łupiny od orzecha podaje stronę i numer hymnu. Śpiewają przepisowo, żegnają się i wychodzą w deszcz i wiatr do następnej niedzieli.

W pustym gotyku siedzę na poduszce Frau Staab. O czym rozmawiać z Bogiem po tak długiej przerwie? Wzbudzić Jego litość przebytymi cierpieniami; machnąć na nie rękę i poprosić o lepsze Jutro; wogóle — o Jutro? Modlić się, by przecięte życie powięzało się, by przeszłość odnalazła styczność z przyszłością, jak szukające się łuki gotyku — zwicniętą tęczą arkadyjską?

Wielki świat i wiatr po wielkich drogach nie wymiatają z duszy nic — prócz starych grzechów. Wohec nowych zjawisk, nieznanych rzeczy, cudzych dramatów i obcych ludzi oczyszczam się i rozgrzeszam — jak na dobrej tragedii wedle ojca Arystolesa. Jestem znów — w drewnianym kościółku na Grochowie, a Kazik Łęczycki w białej komży służy proboszczowi do mszy. Nie mam żadnych prośb do Boga, chyba to, by ministrant nie potknął się o dziurawy dywan, niosąc czerwoną księgę łacińską. Boże, daj, aby się Kazik nie potknął».

...a po sumie, na którą chodzą tylko bardzo pobożni, młode małżeństwa, lubiące długo spać, Michał z Ciotką i inne wyjątki — po sumie — zakrystjan zaprosi na tłusty obiad odwiedzających go kumów, ksiądz przyjmie swoich gości — wódka i przekąski — bruderszaft i polityka — my zbierzemy się za kościołem, na cmentarzu — pół godziny przed obiadem. Naprzemian biegają tu gruzы pomników i okopy wojny światowej. Aż do jeziora. Brzeg stromy, sankami zimą do pół lodowej skorupi dojedziesz. Latem szumi niewysoka trzcina. Na cmentarzu jest wie e drzew, wiele dziupli w wiekowych drzewach, ale tylko ta jedna, naprzeciw

Nielubczyka Stanisława (umarł w 1850-tym), kryje ćwiartkę sztyrowanego papieru, co wieczór świeżą, podpisaną zawsze tym samym «WW».

«WW» nie chce wyjawiać kryptonimu. Z nic. Dopiero po latach. Po latach nowych słówek, gramatyk, równań, tablic logarytmicznych, po myślach pociętych w stożki, rąbno kwadraty... Znów jezioro. To smo — Skaryszewskie. Wieczory luźne, jak rozmotane kłębki miękkiej, granatowej włóczki. Księżycy — stopniowe: równe pięści, patelni, miednicy. Trzy ciała płynące obryzgują go pianą. Powroty do cichej willi z ogródkiem, z altaną. Na tarasie świeca za szklanym kloszem. Wiatr zdmuchuje karty rozłożonego «stołu». Pytanie: «W W»? Możeż przecie powiedzieć, słowo, że nie będę się śmiać. Zagram całe dwa robry, jeśli tylko powiesz». «Uparty dziewczonka — pamiętasz jeszcze? Miało to znaczyć: Westchnienie Wiatru. «Nie...? Ha, ha. Ty Kaziku i... westchnienie... jak? Wiatru? Ha, ha, ha». «Cztery piki — a ty? Dwa bez atu?».

Kto zechce wysłuchać niedorzecznych, młodych wspomnień leżących tak płytko na sercu? Chce mi się gadać bez pamięci, uczyć się byle uśmiechu, byle gestu zrozumienia. I żeby potem ktoś serdecznie uściśnąć rękę. W obozie nie ma zwyczaju podawania rąk. Ręce są używane do pracy, kradzieży i jedzenia, do znaku krzyża ostatecznie.

Nie wiem, czy — i jaka modlitwa dociera do Boga. Bezpośrednio — daje skupienie. Powolotku zamykam się w sobie, w świątyni nocą, kiedy modlą się ładnie uczesane figury świętych, witraże — linią pocztą w pomysłach artysty, pluszowe poduszki i parę monet zatopionych w marmurowej kropielnicy.

— Mamo —

Pierwsza od dawna samotność całogodzinna. Krzepnie, czy rozkleja?

Ktoś uchyla ostrożnie drzwi. Dziecko? Trzeba iść. Krystyna stoi przy wejściu: «Margusza, a co, przecie znalazłam!»

Swoja, bliska, — Krystyna.

Ciągnę ją ku ołtarzowi. Trzeba komuś na coś przysiąc... W takiej chwili... Stukot naszych drewniaków budzi pusty kościół. Ale tu jesteśmy wolne.

Krystyna powinna to odczuwać. Wolne. Żółte witraże kładą się na jej twarz.

Wolność. Twarz Krystyny ma inny Znak.

— Tu — szepce onieśmielona — bardzo mi się podoba. A Soroka myślała, że jest pełno, bała się wejść. Moknie tam przed cerkwią.

Teraz siedzieli we trzy na pluszowych poduszkach niemieckich. Krystyna i Soroka dzielą się swoimi wrażeniami. Zostają na końcu ławki. «Ojcie nasz, któryś jest w niebie... i wyprowadź nas z ziemi egipskiej... i wyprowadź nas z ziemi niemieckiej z domu niewoli... i wyprowadź nas...»

Deszcz zmienić tylko kierunek i znów jest nam w oczy.

«Że też wam się chciało w taką pogodę...»

— Najlepsza pora — odpowiada Krystyna. — Mało kto chce wyjść. Komendant łatwiej daje przepustki.

— A coście za powód podały?

— Zwyczajnie, kościół.

— A on?

— No, a wy?

— Spytał, czy widzieliśmy Boga?

— Kiedy tłumacz nie czekał na odpowiedź, bo się Soroka za długo namyślała.

Wypchnął nas za drzwi, ale z przepustkami.

Postanawiamy uświęcić piwem tak dobrze rozpoczęty dzień. Znam w Hassmersheimie kranję «Pod wołem», gdzie bywają Francuzi i Włosi.

Siadamy przy stole i każemy, tak jest, każemy podać trzy duże piwa.

Krystyna chwali pienistą wodę, Soroka piła w domu mocniejszą. (O, dalekie, słodowe, Żywieckie!).

Przez ściszone radio brzęczy komunikat, lecz moje towarzyszkę nie chcą tłumaczenia.

— Przecież Niemcom też oczy pędzłem malują. Tylko nam takim malutkim pędzelkiem, a im takim dużym...

— Cicho, Maria.

— A któż tu po rusku rozumie — upiera się Soroka.

Panienska z za bufetu patrzy na nas z rezerwą.

— Pewnie jej do gustu przypadamy. A no, zapytaj, Margusza, może za butelkę mocnej gorzałki weźmie mój żakiet?

— Twój żakiet i za kieliszek nie pójdzie.

— A napitoby się czegoś... na rozgrzewkę. Tak zimno na duszy.

Przejmujące zimno na duszy. Mają rację. I ani kościół, ani piwiarnia nie pomcze. Wracamy do obozu przyspieszonym krokiem. Semafor w gumowym płaszczu chodzi swoją stałą trasą.

Odkąd wyszła z wieży, Soroka prawie wcale nie rozmawiała z nami. Naskoczyło ją coś. Po pracy kładzie się na posłanie, okrywa kocami i udaje, że śpi. Nie chce jeść, pije tylko ogromnymi łykami zimną wodę. Raz sobie obwiąże gardło, to znów rękę, kiedyindziej głowę — tą samą białą chusteczką. Pewnie chce w ten milczący sposób zwrócić uwagę jakiegoś Anioła. Nikt tego nie zauważa z tutejszych szatanów i Soroka musi codzień dreptać przez most do kuchni.

Anastazja próbuje zaopiekować się Soroką. Z wysokości swojej przyczy patrzy na jej wysiłki O'ga.

— Daj jej spokój. Kto się sam nie przemoże, temu nic nie pomoże...

W sobotę od sąsiadującej dyżurki dopłynął do nas ewsoły «trepak». Kobiety zeskoczyły z łóżek i na zaplatej, zabłoconej podłodze, zaczął się taniec, wybijany bosymi piętami, wyklaskiwany zgrubiałymi palcami.

Gdy zabrakło piosence słów, znalazła się przyspiewka żywa i zasapana: «Idry, idry, idry, idry...»

Soroka poderwała się razem z innymi. Tańczyła zaciekle, w barchanowych majtkach, przedmiocie zazdrości w baraku.

Nazajutrz po tym zrywie wesela nie była w stanie zwlec się na zbiorę.

Nikt nie chciał narażać się, zawiadamiając o jej chorobie komendanta.

Udałyśmy się do Hermana, by za paczkę «tabaki» sprawę zafatwić.

«Ponieważ w pokojach nie wolno było chorych zostawiać, przewleczono Sorokę do szpitalika. Szpitalik był skutecznym środkiem na przyspieszenie śmierci. Soroka wyraziła się kiedyś, że chce przed śmiercią bodaj tydzień w spokoju poleżeć. Umierała krnąbrnie jak

dziecko, bo koniecznie chciała ten swój wymarzony tydzień wyleżeć.

W następną wolną niedzielę wybieramy się na cmentarz za Hassmersheimem. Za pierwszym ogrodzeniem odstawiono nam wąski pas ziemi wzdłuż muru. Śmierć Soroki, jak się potem okazało, wcale nie przyszła niespodzianie. Każda miała, jeśli nie sen, to przecucie. Olga — nawet widzenie: Soroka siedziała na ptaku, ptak leciał nad rzeką... Działo się to o szarówce, niedawno, gdy Olga zawieszając okno zapatrzyła się w niebo.

Czy Soroka na ptaku poleciała w niebo; czy na własnych umęczonych skrzydłach, nikt głowy nie da; dość, że napewno w samo niebo się wzbija, tylko smutno, że bez pożegnania, bez słowa dla rodziny.

Tyle tych opowiadań o córce i wnukach słyszało się od Soroki, a nikomu nie przyszło na myśl zapisać jej adres domowy. Nazwisko znamy dobrze. Wyszyła je koszlawa nitką na swoim worku, który w czasach nadziei na powrót skleciła ze starego siennika.

Ponieważ schedę po zmarłych zabierano do składu obo-

zowego, uradziłyśmy schować wartościowsze rzeczy. Wartościowsze? Przede wszystkim owa torba, kosztująca długie mozoły wieczorne — jeszcze, pamiętam, z przed Bożego Narodzenia. (O torbę Olga i Krystyna trochę się pokłóciły). W worku znaleziono pięć różowych jabłuszek — miały być pamiątką z Niemiec, na dowód, że matce nie najgorzej się wiodło. Z Vaihińskiego obozu, również w tym celu, gwoli uspokojenia dzieci — torebka przezroczystych cukierków. Dostałyśmy je z racji inspekcji pewnej «grubej ryby». Jaka śmiała była wówczas Soroka. Przy członkach komisji i tłumaczu potrafiła powiedzieć, wciągając nosem powietrze: «Oj, dzieci, może to i gruba ryba, ale od głowy śmierdzi».

Co tam było poza tym? Szałki, skraweczki, guziczki, załzaski.

Świąteczną spódnicę i żakiet zdecydowano się oszaczować później, sprzedać, czy wymienić, bo na żadną z nas nie pasowały.

A starą parę drewniaków przeznaczyłyśmy do pieca.

WITOLD URBANOWSKI

Przegrana karta

*Za stołem stary szuler — życie
Rozdaje karty dziwnej gry,
Gdzie wszyscy grają przeciw wszystkim.
A między nimi ja i Ty.*

*Graliśmy razem tyle dni
Spokojnie, równo i bez burz,
Aż raz zmieniłaś karty Ty
I nasze szczęście przysło już.*

*Bo talia świeżo dziś rozdana
Jakimś złowróbnym blaskiem lśni.
Podniosłem kartę — wiem, przegrana,
Więc jeden partner wyjdzie z gry.*

*Chociaż odejdę, ale jeszcze
Ja się ostatni będę śmiał,
I wygram swoją partię życia
Chociaż samotnie będę grał.*

*A jeśli kiedyś za tym stołem
Siądziemy razem znów do gry,
To wtedy jestem tego pewien
Przegraną kartę weźmiesz Ty.*



CZESŁAW CZEMA.

Wieczne milczenie

*Pełni rozpacz
żału
i pragnienia
przed świątyni idziecie progi,
wznosicie ręce
błagacie
proście
kamienne nie słyszą was bogi...
lecz wam nie wolno
zwątpić
i przeklinać
bo tylko wiara
was wspiera
i trzyma,*

*ja — patrząc na was
modlitwy przeklinam
i nasze z płótna
i kamienia bogi,
lecz — klęczę razem
milczę,
nic... nie powiem,
bo — widzę i słyszę...
tak — jak te bogi.*



TRYUMF CZŁOWIECZEŃSTWA

Wiersze Zdzisława WRÓBLEWSKIEGO.

Każdy wie, co to był obóz koncentracyjny w hitlerowskich Niemczech. Każdemu na wspomnienie «konzentrationslager» przychodzą na myśl obrazy i fotografie, które widział w kinie lub gazetach, fotografie trupów i półtrupów, świadectwa największej zbrodni, jaką w przeciągu całej historii popełniono na Człowieku. Każdy mniej lub więcej może sobie wyobrazić atmosferę panującą w obozie: zbydlęcenie i strach. I nikt z was chyba nie może sobie wyobrazić poezji w obozie, poety przeżywającego wzruszenia poetyckie i tworzącego. A jednak poezja rozkwitła z pod rąk niektórych i była silniejsza od knuta. Na cementowym papierze, pisano słowa gorące jak krew i bolesne jak krew. Człowiek zwyciężał sam siebie, swoją zwierzęcość i niedolę, był to jego triumf, triumf człowieczeństwa.

Oto są wiersze Zdzisława Wróblewskiego, pisane w jednym z najgorszych obozów niemieckich, w Gusen. Wierszom tym należy wiele wybaczyć. Były pisane ukradkiem w krótkich chwilach wolnych od pracy. Naturalnie znać na nich obóz, tematycznie i formalnie przez prostą niepretensjonalną formę. Są one dokumentem człowieczeństwa. Spowiedzią i oskarżeniem. Czytając je, nie patrzcie na niedoskonałość, na niedociągnięcia, ale traktujcie je jako szczerzy wyraz skołatanego człowieka, tęskniącego za dobrocią i uśmiechem.

Wiele już wierszy Zdzisław Wróblewski nie napisał. Męka i ból obozu przecięły pasmo jego młodego życia.

*Jedna jest droga człowiecza,
którą nam przebyć trzeba —
błękitem pachnie swoboda,
zielenią broczy szlak —
Wyjdź w życie bracie nieznany
byś poznał gorzki smak chleba,
by pot twój z krwią pomieszany
na ziemię padł.
Przyjdzie ci plecy pochylić —
ku pracom sposobić ręce!
niejedna kłeska ci przyjdzie
niejeden zwali cios!
Lecz ponad drogą kamienną
słońce wolnością pęka
I dzwoni krajem ojczyznom
tworzenia głos.
Bracie nieznany a bliski
niech serce płonie jak sztandar!
Ziemią zdrajców i ziemią
kochania trzeba iść!
kiedyś po nocy niewoli
dłoń nasza ciemność rozgarnie
na życie jasne i proste
za które warto się bić!
Gdy chwila zjednania bliska
brnij trudną drogą do końca —*

*wzdłuż wszystkich granic się pali
nadziei front!
choć krew nam wargi zakleja .
kres naszej drogi jest w słońcu!
Bądź gotów! i dłoń braterską
podaj idącym dniom.*

*Matko moja w dalekim kraju
nie płacz, wróć może — lub nie —
twoje imię mi pozostaje
w ciężkim trwaniu na życia dnie.*

*Pozostają mi twoje ręce
co uczyły mnie prosto żyć —
nauczyłaś mnie kochać więcej,
za kochanie trzeba się bić.*

*Jeśli mnie tu na obcej ziemi
złamię przemoc i głód i kij
wiedz, że twoich słów nie zamienię
i że nimi do końca żyję.*

*Żem jak żołnierz do końca wytrwał
twój niedobry — najlepszy syn,
choć łamały mnie noce mgliste
ciężki kamień wyprywał z sił.*

*Nie wiem, zali te proste wiersze
dotrą kiedyś do twoich rąk,
lecz w nich twoje pali się serce
i nurt tętni twą żywą krwią.*

*Los mnie przegiął w ciemność i grozę,
myśli zamknął kolczasty drut —
lecz choć źle mi i codzień gorzej
jeszcze pali się we mnie bunt!*

*Powiedz braciom, że wciąż tam jestem
w każdym szturmie i w każdej z walk —
i że dla nich trudne me wiersze,
jak płynącą krew ścieram z warg!*

*O ulice, ulice ciemne!
krew na murach i wszędzie krew!
Poprzez drutów śmiertelną wstęgę
rwie się młodość moja i śpiew!*

*Nie wiesz ile to cichych wzruszeń
list od ciebie, pierwszy mój list —
za oknami miękko śnieg prosi,
moglibyśmy na spacer wyjść.*

Piszesz, jasne są nasze pola
i wiatr ślady tropi wśród miedzi,
i że pierwszy śnieg padał wczoraj,
i przypomniał ci się mój wiersz.

Że w pokoju jest tak spokojnie,
jakbym wrócić za chwilę miał,
jakby wcale nie było wojny,
tylko nocą zły wicher wiał.

Piszesz jeszcze, że tęsknisz za mną,
i tak bardzo jest mnie ci brak,
i że czekasz — a nocą czarną
placz ci słowa ociera z warg.

Że już tylko ma fotografia
patrzy z pośród drewnianych ram
i tak patrzy jakgdyby płakał —
i że kleks ten to nie jest łza.

Cóż ja miła tobie napiszę?
jak ci powiem gorzki mój los?
wiatr mnie smutną pieśnią kołysze,
jakby z dali niósł mi twój głos.

Obozowe listy jednakie —
ręce bolą i boli głód —
tak być musi — nie trzeba płakać...
«Ich bin gesund, es geht mir gut»...

Przecież serce by w tobie pękło
gdybyś mogła widzieć mą twarz —
pokrwawioną ocieram ręką
z lic piękną płakania ślad

Bo złamać mógłbyś się we mnie
twardy upór zaciętych warg
i czekałabyś nadaremnie —
raz złamany prędko bym padł.

Tutaj trzeba wysoko głowę
nieść i czekać aż spadnie cios,
i podnosić się wciąż na nowo,
i z uporem dźwigać swój los.

O dziewczyno moja daleka
list twój boli i pali pierś!
list na którym tak długo czekał,
gdzie ojczyzną jest każdy wiersz.

Gdybym pieśnią umiał wybuchnąć
wyspiewałbym ogień i krew!
... ale widzisz nogi mi puchną,
ciało wędnie marzeń wbrew.

Ale widzisz, głód mnie obala
w grząskie błoto i mokry śnieg,
czuję jak się życie dopala
i jak siła się we mnie rwie.

Gdy mnie ciężki kamień przygniata,
gdy kaszel wypływam z płuc

widzę drogę pełną szkarlatu
i przepastny grobowy dół.

I już prawie, prawie nie wierzę,
abym wrócić do ciebie mógł —
z listem twoim w barłogu leżę —
... «Ich bin gesund, es geht mir gut».

Szliśmy i każdym świtem witaliśmy twój próg,
wiatrami lata wiały, wiatrami myśli rosły —
był twój szept i zapach u umęczonych nóg
i było mocne serce, w którym twój czar nie ostygł.

Szliśmy łunami wojen, krwią, głodem strasznych dni
szerokim światem biła śmierć i pieśń nie wyżyta —
bracie, druha śmiertelny! krew i kurz z twarzy zmyj
i słowa moje proste otwartym sercem czytaj!

Była nam każda droga jak granitowy głaz
I każdy dzień jak jarzmo i każda noc jak boleść —
aleśmy szli z uporem i mijaliśmy czas
z imieniem twoim Polsko nad utrudzonym czołem.

I tak cię dzisiaj widzę, jak przez czerwoną mgłę ..
Niezabudkami rośniesz w oczach ginących ludzi —
jak złoty okruch słońca na czarnej wody dnie
wspomnieniem pól i łąków na nowy trud mnie budzisz.

Widzę cię przez zwał trupów co się na granit kładł
jak łąn dojrzały żyta kładzie się pod świst kosy —
gdzieś ponad cieniem drutów i okrwawionych krat
woła mnie głosem matki dojrzałych sadów dosyt.

I ponad każdą śmiercią, nad każdą kroplą krwi
stoisz mi tak promienna, że oczy z blasku mrużę —
i widzę glorię tęczy nad drogą gdzieśmy szli,
jak dobry znak pogody po mijającej burzy.

Pieśń moja dośpiewana. Ostatnie słowo weź
bracie, coś ze mną muskę skwaśniałej rzepy dzielił —
bo trzeba będzie jeszcze wysoko serca nieść
zanim nam kraj ojczysty pod nogi łąn podścieli.

Weź w dłonie ziemi przygarść, okruch śmiertelnych skał
i na pierś swą go przypnij, aby nad sercem ciążył —
i każdy dzień pamiętaj — bo dynamitem rwał
trud słabe piersi nasze nim ku wolności dojrzał!

Bracie, druha śmiertelny! gdy nas złączyła śmierć
po śmierć nam ramię w ramię iść i zwyciężać trudy!
wyciągnij dłoń ku jutru i jeden wiatr weź w pierś
świat nowy, świat zbratania z serc gorejących buduj!

Jest niepisany rozkaz w losie co złączył nas
choćbyś był z ziemi krańca w bratnim szeregu wytrwaj
bo skazał nas na miłość i pracę wielki czas —
nasza jest pieśń ostatnia, nasza wygrana bitwa!

Idźmy! — wolnością pachnie ziemia u ludzkich nóg,
jakby okrucieństwem chleba sercem się ze mną zamień,
kiedy nam miłość prawem, każda z człowieczych dróg
w słońce nas wyprowadzi: KU ZIEMI OBIECANEJ.

Wiosna aniołów

(fragmenty poematu)

Aniołów na ziemię zstąpienie
Sądom błogosławienie
A na ziemi — pokój ludziom dobrej woli.

Takie jest motto poematu
Kiedy podają rękę światu
Śpiewają na niebie Anioły.

—o—
Kwitną białe jabłunki
Dzwonią srebrne skowronki
Pozdrowienie zanoszą Aniołom.

Posłyszały wezwanie
I wtórują śpiewaniem
Wiatr im pukle rozwiewa nad czołem.

I śpiewają na niebie
I wołają do siebie
Serafyny, skowronki i drzewa.

Kwitną kwiatki na łące
Dzwonią muszki brzęczące
I słoneczna zakwita ulewa.

Jak wesoło tak w koło
Kwitnąć białym Aniołom
Niby śniegiem wiosennym zakwitać.
Wziąć się w tańcu za ręce
I w bielutkiej sukience
Serafiny śpiewaniem powitać.

—o—
Idziesz sobie uliczką i myślisz, że sad
A to biały anioł — białe pióra kładł
Piórami ścielił świat
Na znak
Że to Aniołów na ziemię zstąpienie.

Idziesz sobie nad wodę i myślisz, że cud
Bo nad wodą wysoko
Biała szata w obłoku
A na łące zielonej
Dzwonią gwiazdy zgubione
A wszystko wydaje się proste.

ANDRZEJ CHCIUK.

Dni mnie mijają jak ludzie, odchodzą,
obce, nieznane, nie moje, nie we mnie.
Czas mi przecieka przez palce jak woda,
jestem nie w sobie i dzieję się za mną.

Z sekund minuty, z minut są godziny,
z godzin dni rosną, a z dni dni i noce —

Pociągiem wspomnień jadę poprzez siebie
a przypuszczenia migają jak słupy.

Czemu nie pisesz? Smutny uśmiech. Nigdy
mnie nie zrozumiesz, choć wciąż mówisz: kocham.
Ty nawet nie wiesz, co by się zmieniło
Gdyby od Ciebie wreszcie dziś list nadszedł.

Radość wytrąsłaby we mnie wierszami
(ferment zduszonej miłości jak szampan!)

Ja bym dni mijał, ja bym czas rozkładał
tylko mi trzeba niebieskiego listu.

Ploną jak ogień. Kocham. Nic nie mówię.
Ale ty nie wiesz, jak jestem ambitny.
Żeby zacisnę, tak, bo ciebie kocham —
Aż dnia jednego powiem Ci: już odejdziesz!

Wtedy zrozumiesz, czego dziś nie możesz —
wtedy zobaczysz, na coś dzisiaj ślepa —
że daję wszystko, chcę się zamknąć w Tobie
ja, com jest niczyj. Ten dzień już nadchodzi.

Odejdę większy — bujniejszy — i wyższy
samotny, ranny, ale już zwycięski.
Może Cię jeszcze spotkam kiedyś w życiu,
Ale nie w sobie. Kart się nie odwraca.

KRONIKI

Magrody Literackie

Jeszcze nie przebrzmiały echa spóźnionych o pół roku nagród rozdanych w lipcu b. r. za 1944 r. — «Prix Goncourt», otrzymała za zbiór opowiadań o Resistance ELSA TRILET, żona pisarza-komunisty Aragona, «Prix Renaudot» zaś ciekawy debiut p. t. «Amitiés particulières» (duszną atmosferą zakonnego internatu dla chłopców) pióra ROGER PEYREFITTE — a już w ciągu grudnia 5 rozmaitych jury przyznało dalsze nagrody, bilansujące tym samym literacki rok 1945.

Wyprzedziła wszystkich NAGRODA KRYTYKÓW wieńcząc znowuż książkę o ruchu oporu, ale tym razem ...polskim. Akcja krótkiej powieści pióra półkwi Rosjanina — ROMAIN GARY — «Education européenne» rozgrywa się bowiem wśród borów Wileńszczyzny w miesiącach obrony Stalingradu. Psychikę i obyczaje polskich partyzantów autor sam oficer-łotnik bombowy, zna bez zarzutu. Technika powieści, podobnie jak u współczesnych pisarzy amerykańskich, jest filmowa.

Dalsze dwie nagrody dostały się także ...francuskiej Resistance, w nieco odmiennym jednak przedstawione światło. AKADEMIA GONCOURTÓW (nie głosowało aż 3-ch zawieszonych członków: Ajalbert, Guitry, Benjamin) nie oparła się pokusie, by nagrodzić książkę o temacie niemal sensacyjnym: «Moje miasteczko ma niemiecki czas», pióra młodego nauczyciela J. L. BORY,

śmiało obnaża kompletny brak oporu i ideałów, starczy kollaboracjonizm wędnącej starczo prowincji francuskiej.

Utwór wojenny o «podziemiu» ROGERA VAILLAND o wiele mówiącym tytule «Drole de Jeu» uzyskał nagrodę dla powieści napisanej przez dziennikarza t. zw. PRIX INTERALLIE. Krytyka uważa książkę za najciekawszą i najlepszą w tym roku, ubolewając, że to nie VAILLAND, ani GARY zostali laureatami pechowych od lat w swoim wyborze — «Goncourtów».

Publicyści i sprawozdawcy literaccy, którzy czekają co roku od lat 40 cierpliwie, aż Akademia Goncourtów uchwali komu dać nagrodę, postanowili pewnego dnia, że i oni mają przeciw głos, są przeciw «specami» i mogą wobec tego równocześnie — zamiast czekać — uwieńczyć książkę inną. Tak powstała Nagroda Theophraste RENAUDOT (pierwszy dziennikarz francuski ur. w w. 16). Otrzymał ją bez dyskusji znany już piewca życia Prowansji, Henri BOSCO, mieszkający od lat w Maroku, za długą i ciekawie napisaną powieść p. t. «Le Mas Theotime».

Wreszcie PRIX FEMINA (nazwa złudna, gdyż ani w jury, ani wśród laureatów wcale nie muszą być wyłącznie panie) dostała w tym roku jednak kobieta, także literatka w wieku zasłużonym pani A. M. MONNET, za książkę również z życia «wsi spokojnej» w Sabaudii, pod tytułem «Les Chemins du Soleil».

Ci, co odeszli

W ciągu roku 1945 piśmienictwo francuskie straciło dwóch z najświetniejszych — po śmierci Jana Giraudoux swych przedstawicieli. Zmarł w Szwajcarii wielki pisarz ROMAIN ROLLAND (ur. 1868). Sława Rollanda, jednego z pierwszych laureatów Nobla — za cykl powieściowy «Jan Krzysztof» (19) — była większa w Europie i na świecie, aniżeli we własnej ojczyźnie. Zapoczątkował on rodzaj powieści cyklicznych, zwanych później «roman-fleuve»; obok «Jana Krzysztofa» należy tutaj cykl «Dusza zaczarowana» (1926). Rolland należał do najszlachetniejszych bojowników o wolność człowieka współczesnego i umiał okryć szereg pokrewnych mu talentów (m. in. Barbusse, Istrati), którzy walkę prowadzili dalej — i pozostawili po sobie b. obszerną «europejską» korespondencję, której druk zostanie podjęty niebawem.

W Polsce przełożono oprócz dramatów wszystkie dzieła Rollanda; największą poczytnością cieszyła się barwna poetycka opowieść «Colas Breugnon», w przekładzie F. Mirandoli.

Dnia 20 lipca zamknął oczy największy myśliciel francuski i europejski PAUL VALERY (ur. 1871). Jest autorem nielicznych, a bardzo cennych rozpraw filozoficznych («Methode de Leonard de Vinci», «Soiree avec M. Teste»), oraz niedokończonego «Fausta». Zabłysnął przede wszystkim jednak jako poeta: «Narcyz» (18), «Młoda Parka» (1917), Zbiór «Charmes», a zwłaszcza «Cmentarz Morski», najczystszy wyraz myśli Valery'ego i korona jego poetyckiej twórczości należą do niełatwych, ale najdoskonalszych utworów pisarskich, jakie kultura francuska posiada.

Rząd Republiki urządził zgastemu poecie uroczysty pogrzeb na koszt państwa, a zwłoki spoczęły na tym cichym cmentrze nadmorskim, w rodzinnym Cete, który pisarz tak ukochał. Wyjątkowo trudne utwory Valery'ego, jedynego ucznia i kontynuatora Stefana Mallarme, próbowali — niejednokrotnie z powodzeniem — językowi polskiemu przyswoić J. Iwaszkiewicz, Roman Kołoniecki (wydał w r. 1936 przekłady swe w osobnej książce), Artur Sandauer, Allan Kosko i inni.

A. K.

S. BRUDNICKI

LIST

Jak Cię nazwać, zawołać
Jakim zakląć wyrazem
Jak przemówić do Ciebie znów.
Słów mi braknie. Nie zdołam
Wybrać jednego słowa
Z pośród tylu tysięcy Słów.

Nic prócz Twego imienia
nie piszę w nagłówku.
Każde słowo jest błahe i zimne.
Chciałbym Twoje ramiona
Objąć serdecznym słowem,
Ciepłym słowem, nieznany innym.

W moje okno żalosińie
Jesień bije szarugą.
Wiatr zawodzi żalobną pieśń
Piec w pokoju radośnie
Ciepłem mruga i mruga
mam co wypić i mam co zjeść.

W Twoim domu rozbitym
Rozpacz grzybem porosła
Wiatr Cię tylko tuli i pieści
Piec wygasty, Cię wita
Pustką, chłodem i głodem.
Żyjesz głodem chleba i pieszczot.

Może wróć wiosną
Kiedy śniegi stopnieją
I sasanki rozścielą się w lesie.
Wtedy skrzydła wyrosną
U mych ramion strudzonych
Wiatr mnie dobry ku Wam poniesie.

A tymczasem bądź zdrowa
Bądź cierpliwa i dzielna.
Zobaczymy się kiedyś przecież
Zobaczymy się znowu
I złączymy na nowo.
Słońce jaśniej nam będzie świecić.

Tu się kończy Kolumna Literacka — nr. 2 — Klubu Sowizdrzałów.

WIGILIA TUŁACZY

— Jak tam, panie Królik, święta się panu zapowiadają?

— Owszem, nie mogię powiedzieć, żeby źle. Nie to, ma się rozumieć, co przed wojną, kiedy to siedem potrań obowiązkowo na willi musiało figurować: śledź pocztowy z cybulką, zupa grzybowa z gwiazdkami, szczupaczek po żydowsku, karp na szaro, grzyby smażone w cieście, kluski z makiem i komput.

Teraz będzie troszkie skromniej, ale zawsze nie osłabnie. Na pierwsze kartkowy ulik w ikre kopany, na drugie «Wśród nocnej ciszy», na trzecie «W żłobie leży», na czwarte «Przybieżeli pasterze», na piąte i szóste jeszcze dwie kolędy, no i ma się rozumieć na zakończenie suszone świątki od «Undry». Gwiazdki będziemy mieć w górze nad głowami, bo właśnie wczoraj w nocy dach nam sąsiedzi zasabrowali.

— No, śmiech śmiechem, jeszcze się tam znajdzie u pana coś nie coś wypić i zakąsić. Dzisiaj rano widziałem jak pańska małżonka koszyk żywności taskała, ryba też była, bo ogon, cholera wystawał.

— Wiadomo, żarty mają swoje miejsce. Jak będzie tak będzie, ale gront, że u siebie w Warszawie, bo w zeszłym roku miałem takie święta, że wrogowi nie żyć.

— A gdzie pan był

— W tem całym Krakowie.

— No i co źle tam było?

— Owszem miasteczko sobie nawet niczegowate. Tylko ludzie jakieś dziwne. Żyć się, uważasz pan, nie można. Przyjęli nas nawet gościnnie, nie powiem. Jeden doktor, bo tam, uważasz pan, co drugi facet to doktor, dał nam pokój w swoim mieszkaniu i na razie było wszystko jak najlepiej. I wiesz pan o cośmy się posprzecali? Nie uiwerzył byś pan nigdy. Razem ze mną mieszkał Kropidłoszczak, ten dziobaty. Święta szli, no to myślem sobie nie można tak z założonemi rękami siedzieć, ciężarem być dla społeczeństwa. A że Kropidłoszczak wywiózł z sobą z Warszawy aparacik, no to się ma rozumieć ustawiło. Cylinder miedziany, na rury zdjęto się doktorowi mosiężne gzymsa od firanek, ceberek na zacier — i cała fabryka.

Ledwośmy maszynkie puścili, włąła doktor.

— Co tu tak ankoho! czuć — się pyta. — Co panowie tu robią?

— A co mamy robić, śmietankie prosto od krowy? Bimber się robi.

— Jak to, u mnie?!!!

— Tak. A bo co?

Myślałem, że go zła krew zaleje. Za głowę się złapał, zaczął krzyczyć, że go zniszczem, że do więzienia razem z nami pójdzie i temuż podobnie.

Na razie przypuszczenie zrobiliśmy, że mu się o spółkę rozchodzi. Chcieliśmy go wziąć na trzeciego, bez jednego grosza. A ten nie, tylko żeby się wyprowadzić!

— Niemożliwe!

— Skarz mnie Bóg, tak było!

— Faktycznie dziwny człowiek, przecież mógł zarobić «harmonię» pieniędzy.

— I patrz pan przed samymi świętami musieliśmy się wyprowadzić. Całe szczęście, że się znalazła jedna litościwa profesorowa i wzięła nas do siebie.

W willi gorzkimi łzami się zalewaliśmy, jakieśmy sobie wspomnieli choinki za Żelazną Bramą, chłopaków za Herodów przebranych, pasterkie u Fary...

Żeby nas pocieszyć ta owa profesorowa kupiła mojemu Józkowi drewnianego konika i pozwoiliła mu się nim bawić pod choinką. Józek konika wrzucił w kąt, wytaszczył skądś swoją własną zabawkę i coś tam koło niej majstruje. My kolędy zasuujemy i widziem, że profesorowa podchodzi do niego, głaszcze go po głowie i zapytanie skutecznie:

— Co ty tam masz chłopczyku, co to jest?

— Toto?

— Tak.

— Granat.

— Jak to... granat???

— No, granat ręczny niemiecki — dziewiątka.

— Pra..pra..prawdziwy?

— A jaki? Lipe bym zabierał z Warszawy — odpowiada Józek i bawi się daej.

A paniusia, uważasz pan, fajt i leży — zemgłała. No to my dawaj ją, ma się rozumieć, czucić. Wyleliśmy na nią ze dwa kubły wody, zaczęła przyszyła do siebie. Jak otworzyła oczy i zobaczyła Józia zaczyna krzyczyć, żeby granat odebrać. Wtenczas ja się odzywam w te słowa:

— Niech się pani szanowna nie obawia, on sobie krzyczy nie robi — fachowiec jest. Chociaż ma dziesięć lat, lepiej się z tem umie obchodzić jak niejeden naturalny wojskowy. Po czterdzieści dziennie ich rzucał z barykad na Siekierkach.

A ta się uparła i nie, tylko odebrać, wynieść z domu, bo przyjdą żandarmi, znajdą i będzie nieszczęście. To ja mówię:

— Pani szanowna, jakżeż ja mogię dziecku zabawkę w willi pod choinką odbierać? Czy to byłoby religijne?

A ona krugom swoje, wyszłem ma się rozumieć w końcu z nerw i przeczytałem jej fest litanie, żeby się do cudzych dzieci nie wtracała. No bo rzeczywiście, żeby miał rozpylacz, czy «filipine» — rzecz druga — duża sztuka, mogą szkopy znaleźć. Sam bym dał pętałowi po uszach i broń odebrał. Ale mówię panu śmiech nie granat, kurze jajko, jak pragne zdrowia i tyle krzyku.

Ponieważ, że mnie obraziła jako ojca dzieciom, zabrałem rodzinę, rzeczy, trzasłem drzwiami tak, że z zawias wyskoczyli i wyszliśmy.

Tak, tak Krakowiaki dobry naród, ale trudny w pozyciu — cykoryjny!

(Wiech — «Szpilki» — Warszawa).

Uprzejmość umila życie

«Dobre wychowanie tworzy pełnego człowieka», to dewiza Williama Wykehama, słynnego biskupa angielskiego w XIV wieku, założyciela wyższej szkoły w Oxfordzie. Powiedzenie to oznacza, iż wartość naszą zdradzamy naszym zachowaniem i sposobem życia. Mądre polskie przysłowie na ten temat brzmi: «Jak cię widzą, tak cię piszą». Dzisiaj zwrot «dobre maniere» jest zrozumiany jako określenie ogłady i zdawkowej uprzejmości. Musimy jednak pamiętać, że okazywanie uprzejmości i sympatii ma rzeczywistą wartość jedynie wtedy, gdy jest wynikiem naszych uczuć dobroci. Innymi słowy, powinny one być zewnętrznym wyrazem naszych myśli i uczuć.

Przeczytajmy, co na ten temat napisał nasz wielki poeta Adam Mickiewicz w «Panu Tadeuszu» (Księga

I, «Ważna Sędziego nauka o grzeczności»).

«Dziś nowym zwyczajem
My na naukę młodzież do stolicy dajem,
I nie przeczmy, że nasi synowie i wnuki
Mają od starszych więcej książkowej nauki,
Ale codziennie przestrzegam, jak młódź cierpi na tem.
Że nie ma szkół uczących żyć z ludźmi i światem.
Dawniej na dwory pańskie jechał szlachciz młody,
Ja sam lat dziesięć byłem dworskim Wojewody,
Ojca Podkomorzego, Mościwego Pana
(Mówiąc, Podkomorzego ścisnął za kolana),
On mnie radą do usług publicznych sposobił,
Z opieki nie wypuścił, aż człowiekiem zrobił.
W moim domu wiecznie będzie jego pamięć droga,
Codziennie za duszę jego proszę Pana Boga.

«Jeżeli tyle na jego nie korzystał dworze
Jak drudzy, i wróciwszy w domu ziemię orzę,
Gdy inni, więcej godni Wojewody względów,
Doszli potem najwyższych krajowych urzędów,
Przynajmniej tom skorzystał, że mi w moim domu
Nikt nigdy nie zarzuci, bym uchybił komu
W ucziwości, w grzeczności, a ja powiem śmiało,
Grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą.

«Niełatwą, bo nie na tem kończy się, jak noga
Zręcznie wierzgnąć, z uśmiechem witać lada kogo.
Bo taka grzeczność modna zda mi się kupiecka,
Ale nie staorpolska, ani też szlachecka.
Grzeczność wszystkim należy, lecz każdemu inna,
Bo nie jest bez grzeczności i miłość dziecinna,
I wzgląd męża d'a żony przy ludziach, i pana
Do usług swoich, a w każdej jest pewna odmiana.
Trzeba się długo uczyć, ażeby nie zbłądzić
I każdemu powinna ucziwość wyrządzić».

Prawdziwa, szczerą uprzejmość i grzeczność powinna przejawiać się wszędzie, gdziekolwiek zachodzi potrzeba poznania ludzkich uczuć, powiedzenia lub czynienia czegoś, co ulży ich cierpieniom i sprawi im przyjemność. Ogłada nie jest przywilejem bogatych czy uczonych. Są ludzie ubodzy, nawet niewykształceni, a jednak mili, delikatni i rycerscy. Są to «dżentelmeni z urodzenia». Z drugiej strony wysoko wykształceni ludzie zdra-

dają czasami poważny brak ogłady. Uprzejmość leży w mocy każdego: uczonego i prostaczka, bogatego i ubogiego. Zdobyć ją można przez doskonalenie się od wczesnej młodości, przez uważne panowanie nad sobą w domu, w szkole, na boisku sportowym, na ulicy, — po prostu wszędzie. Nieokrzesanie zdradza słabość, a nie siłę. Głupcy sądzą, iż być grzecznym oznacza niemęskość i służalczość. To jest wielka pomyłka. Męskość oznacza odwagę, wytrzymałość, życzliwość dla innych, zwłaszcza słabych. Dobre wychowanie nie przeszkadza rozwojowi tych wartości.

Mniemanie, że uprzejmość jest poniżająca, powstaje z fałszywego pojmowania tej zalety. Grzeczność jest owocem szczerych uczuć i nie może obniżać naszej wartości. Jak nie zachwycamy się grubowatością innych, tak samo nie możemy tolerować zorstkości u siebie.

Dobre wychowanie zapewnia powodzenie i szczęście. Bardzo często ogłada przyczynia się do osobistego powodzenia w życiu. Gdy jesteśmy młodzi, nie wyobrażamy sobie, jak dodatni wpływ może mieć ona na całą naszą przyszłość.

Grubowaty młodzieniec lub panna bez ogłady, szukający zajęcia, będą mieli słabe nadzieje wobec dobrze wychowanych współzawodników, choć kwalifikacje zawodowe będą mieli równe. Uprzejmość jest pociągająca; ona sprawia, że ludzie są bardziej chętni w udzieleniu nam pomocy w naszych dążeniach i w urzeczywistnieniu naszych postanowień.

...Lecz nie jest to główną przyczyną, dla której powinniśmy być uprzejmi. Grzeczne słowo, miły uśmiech pociągają ludzi, ułatwiają a nawet umilają i rozwesalają życie. Dlatego powinniśmy być grzeczni i uprzejmi dla wszystkich: dostatnio i biednie ubranych, ubogich i bogatych, przełożonych i kolegów. I raczej więcej uprzejmości okazywać tym, którzy są mniej zamożni, czy nie tak szczęśliwi, jak my sami. —

Ciekawostki

CZY WIECIE, ŻE . . .

. . . człowiek ma około 5 litrów krwi . . .
. . . że serce człowieka waży ok. 250 gramów . . .
. . . że człowiek ma 209 kości, w tym: głowa 28, kończyna górna 32, kończyna dolna 30, korpus 53 etc.
. . . że mikroby chorobotwórcze odkryte zostały w 1870 roku przez Pasteur'a, że ich wymiary mieszczą się w mikronach (jedna tysięczna milimetra) . . .
. . . że pewne choroby jak np. odra, paraliż dziecięcy i t. p. są wywołane przez tak maleńkie mikroby, że pomimo niezwykle silnych mikroskopów zobaczyć ich nie można — te mikroby nazywamy wirusem albo ultrawirusem.
. . . że nikotyna, która jest w tytoniu jest bardzo silną trucizną — 8 kropli nikotyny w stanie czystym mogą zabić konia w przeciągu 4-ch minut (tak!).

POCZĄTKI POLSKIEGO NARCIARSTWA

Ludy północnej Europy i Azji używały nart od czasów niepamiętnych. Źródła skandynawskie stwierdzają ich użycie już w X. wieku. Na tem miejscu interesuje nas przede wszystkim zagadnienie, czy narty były znane w wiekach dawniejszych także na ziemiach zamieszkałych przez Polaków.

Na pytanie to nie można dać stanowczej odpowiedzi. Źródła historyczne nie dają nam w tym względzie wystarczającego dowodu. Jedno tylko można stwierdzić z całą pewnością, oto, że wyraz «narty», oznaczający najdokładniej ten sam przyrząd, który dzisiaj tym mianem określamy, był w Polsce znany, używany — i to bynajmniej nie rzadko używany — już w drugiej połowie XVI. stulecia, a przede wszystkim na przełomie wieków szesnastego i siedemnastego.

Gdy w ostatnich kilkunastu latach ubiegłego stulecia, głównie od czasu słynnej wyprawy F. Nansena przez Grenlandię (1889 r.), zaczęto mówić w Europie Środkowej o nartach skandynawskich, zainteresowali się nimi przede wszystkim ci, którzy w przyrządzie tym widzieli możliwość obejścia przeszkody, jaką w ich czynnościach, czy zajęciach stanowił głęboki śnieg.

Najprawdopodobniej pierwszym, który u nas zaczął próbować nart był myśliwy Stan. Barabasz, który miał narty już w grudniu 1888 r. «Łowiec» z r. 1892 przynosi artykuły o nartach, wcale nawet dokładne, jakkolwiek widocznie nie oryginalne. Prób użycia nart, których żadne kroniki nie zapisały, było zapewne wiele, liczne są bowiem szeregi wyznawców św. Huberta. Jedno jest jednak pewne: narty jako przyrząd pomocniczy myśliwski nie przyjęły się u nas...

Narciarzem — pionierem, który jeździł na nartach nieprzerwanie od r. 1893 r. i tegoż roku posługiwał się nimi na wycieczkach górskich, który sam jeden był w zimie na szczycie Bliźnicy (1883 m.) w Karpatach Wschodnich, lecz o którego istnieniu nie wiadano nawet przy zakładaniu pierwszych towarzystw narciarskich, był wybitny i wysoko ceniony alpinista, późniejszy zastępca prezesa Karp. Tow. Narciarzy Dr. Tadeusz Smoluchowski.

Nowa faza w dziejach narciarstwa zaczyna się w r. 1904. W tym czasie narciarstwo nasze miało za sobą już kilkanaście lat prób, doświadczeń, wysiłków jednostkowych i zbiorowych. Mimo to w r. 1904 narciarstwa w Polsce naprawdę nie było. Nikły odcinek ruchu w Zakopanem nie stanowi wyjątku. Zakopane zimowe było wówczas głuchą wsią przez turystów zupełnie nie odwiedzaną, a o narciarstwie tamtejszym w kraju zgoła nie wiadano, milczała o nim literatura i prasa. Same narty należały w tych czasach do przyrządów tak egzotycznych, że ukazanie się narciarza na ulicach miasta wywoływało zbiegowisko. Rok 1904 rozpoczyna — jak już zaznaczaliśmy — «taternicki» okres narciarstwa. Zaczął się on we Lwowie.

Lwów w tym czasie stał się ośrodkiem polskiego taternictwa. Szczęśliwy zbieg okoliczności zgromadził wówczas w tym mieście młodych ludzi, oddanych całą duszą sportowi górskiemu.

W zimie 1904/5 ukazali się na wzgórzach podmiejskich Lwowa pierwsi narciarze.

Zakopiańskie narciarstwo nie miało również pomyslnych warunków rozwojowych jak lwowskie, dlatego, że brak mu było oparcia o tak doborowe środowisko taternickie, jakim się cieszył Lwów.

Tymi, którzy w zaściankowe i prymitywne narciarstwo zakopiańskie wnoszą postęp i umiejętność są — tak samo jak we Lwowie — taternicy, a wysiłkom tych przewodzi, w inicjatywie i pracy zawsze na pierwszym miejscu stojący — Mariusz Zaruski. Jemu narciarstwo zakopiańskie najwięcej zawdzięcza. Ale przewagi w samych początkach przez Lwów uzyskanej, nie tak łatwo było odrobić; aż do wybuchu wielkiej wojny lwowscy narciarze dzierżą pierwszeństwo w polskim ruchu narciarskim; dopiero po r. 1914 tracą je — zdaje się bezpowrotnie — na rzecz «Zakopiańców».

Dr. R. Kordys.

Myśl o przyjaźni

Należy, być może, znać uczucie miłości, aby dobrze znać i przyjaźń

(Sebastien Chamfort).

Nie człowiek miewa przyjaciół, ale szczęście jego.

(Napoleon)

I przyjaźń i miłość powinny otrzymywać tylko to, co same odać mogą.

(Alfred de Musset).

Nie ofiar żąda serce, ale zwierzeń. Proszę cię, żebyś ty kochał, jak ja kocham, płakał, jako ja płaczę i dla przyczyn jednakich, żebyś czuł, jako ja czuję, oto i wszystko. Niema rzeczy bardziej zbędnej, jak owe przyjaźnie heroiczne, którym warunków trzeba, by dały o sobie znać.

(Gustaw Flaubert).

Iżby ofiarować przyjaźń swą mężczyźnie, potrzeba czasu; iżby dać ją kobiecie — sposobność.

(Dumas syn)

Jeżeli druh twój kuleje z prawej nogi, ty kulej z lewej, ażeby przyjaźń wasza przetrwała w harmonii i równowadze.

(Jules Renard)

Istnieją w przyjaźni chwile radości cudownych. Albowiem radość jest zaraźliwa. Niech obecność moja dostarczy druhowi odrobinę prawdziwej radości, a widok tej jego uciechy wywołuje moją radość z kolei. I tak radość, którą każdy wywołał zostaje mu oddana; równocześnie całe skarby radości bywają wyzwolone i obaj przyjaciele mówią sobie: «Miałem więc w sobie szczęście, leżące odłogiem».

Dla każdej przyjaźni złym bywa początkiem, kiedy pragnie się wydać lepszym, niżli się jest w istocie.

Przyjaźń zakłada współżycie dwóch siostrzy: zaufania i szczęścia. Kocham przyjaciela za jego zalety i owszem, ale także i za wady, których nie skrywa. Stąd wspaniała potęga przyjaźni: można jej się powierzyć.

(Alain)

Z upływem lat przyjaciele nasi szeregują się według subtelności ich taktu.

Któż ośmieli się rzec przyjacielowi:

«Ja zupełnie o tobie zapomniałem . . .»

Niema przyjaźni całkowitych. Rzadko bywamy przyjaciółmi całą osobowością. I dlatego zdarza nam się posiadać po kilku przyjaciół, różniących się pomiędzy sobą bardzo.

(Paul Valéry)

W przeciwieństwie do tego, co się dzieje w życiu i w przyrodzie, nie potrzebujemy w przyjaźni strzec miejsc tych co odeszli. Miejsca te strzegą się świetnie same. Nikt nie przybywa zastąpić tych, których brak. . . »

Kolumna poezji

Druciarz

Gorki drutować —
blaaaszane naprawiać —
pobić, sklepać, pomajstrować,
podrutować zreperować,
dziury blachą ponadstawiać —
— niema garków —
— Panbóg prowadź —
Coś mamroce, klnie i biada,
— idź druciarzu, do sąsiada —
zebrali z pod okapu,
zebrali z polepy;
łapu, capu,
garnki i czerepy —
poustawiał toto wkoło,
czoło utar łatną połą,
wieńce drutów wyjon z torby,
szczypce, cęgi, młotki, korby,
drut prostuje, kręci, zmierza,
wokoło brzucha wołał obieza,
supli, węzli, naklepuje,
maister walny — haj — drutuje,
garkiem zwinnie obertuje,
snuje, kuje, przydrepuje,
jak do tańca, jak do tańca,
ode denka aż do krańca
snuje, kuje, przydrepuje,
przymłaskuje, przymrużuje
powieką —
— będzie, będzie gar na mleko,
na mleko,
na ziemniaki, kapustę,
na rosoly, na tłuste,
a już się widziało
jak go słukły dzieci
że trzeba nim już smyrnąć
na oborę w śmieci —
aż tu przyszedł ozdrowieniec,
wyjon z torby drutu wieńce
pomajstrował, odrutował
ucho zgrabnie przylutował,
majster — klepka, majster boski,
umniejszył nom dziśiak troski —
nie było do czego doić
i wieczerzy w czym nastroić —
odjon przekleństw sto i kar,
grzech odchybnął precz od duszy —
bo już jest na mleko gar
chłop nie psiekruwi, nie psiojuszy,
zdrutowany jak się patrzy —

druciorz, taki ci odmieniec,
skończył, zwieńczył drutu wieńce
złożył nabożnie do torby
świdry, młotki, cęgi, korby — —
Coś się tam s nim targowali
Wreszcie przystan, grosze wzion,
kubek mleka, chleba glon —
— poszedł dalej —

— — gorki drutować —
— — blaaaszane naprawiać —

E. ZEGADŁOWICZ.

Dziewczyna i echo

Idzie bez las dziwucha
i smyka se jagody...
I dziewczucha jest młoda —
i las dość ta tyż młody.
Olaboga! jak ślisko — kajsi leć — o rety!!
— Gdzie ty? —
Tyla mi się tej rosy natrzęsto za kołnier! —
— Żołnier? —
Ja se gadam o rosie, nie wojak mi w głowie!
— Kto wie? —
— A niechże cię ty echo! — nie sprzeciwiaj mi się!
— Śni się. —
Może śni się czasami — albo sny to grzechy?
— Śmiechy! —
I od śmiania ci zaśię! — powiem Matuli!
— Tuli... —
Utul że się ty samo — kusisz, nie wiem po co!
— Nocą... —
Czy ta nocą czy we dnie, czy w samo południe.
— Brednie! —
A nie brednie, bo prawda i nic ci do tego!
— Czego? —
No do tego kochania, co go się nie wstydzę.
— Widzę! —
Nic nie widzisz, a słyszysz — tumanie przekłęty!
— Wa — len — ty?? —
Waluś... Któż ci to pedział, — ja o tym nie gadam.
— Ja — dam! —
— Ot zazdrosny, to plecie, tak zawsze z nim było!
— Miło! —
Idź ty leśny majaku! — gadać z tobą szkoda!
— Zgoda!... —
Nie ma zgody, precz idę — bo się ze mną kłócisz!
— Wrócisz! —

Poszła kajsi dziewczyna.

Echo samo zostało.

Ale się ta nie trapi

Cóż to dziewczuch jest mało!?

KAZIMIERZ NAŁĘCZ.

J. TUROWICZÓWNA

Golono - strzyżono

Przy inscenizacji utworów powieściowych lub utworów poetyckich można wypowiadać słowo autora, czyli rzeczy objaśniające przez jedną osobę, lub też przez kilka, czy kilkanaście.

Biorąc do inscenizacji jakiś wiersz, zawierający w sobie pierwiastek dramatyczny, t. j. materiał nie opisowy, lecz dający się ułożyć w akcję, dzielimy go na osoby działające i osoby objaśniające, czyli chór, o ile chcemy połączyć inscenizację z chóralną deklamacją.

Osoby objaśniające, o ile stanowią ścisłą łączność z akcją, znajdującą się na scenie, lub w miejscu do inscenizacji obranym, o ile zaś używa się chóru tylko do wypowiadania słów autora, stawia się go przed sceną, by stanowił jakgdyby oprawę, ramę dla odbywającej się akcji. W pierwszym wypadku chór musi wykonywać gesty związane z treścią wypowiadanych słów, a w drugim obywamy się bez pomocy gestu.

Sposób wypowiadania przez chór przypadających nań słów musi być zachowany tak, jak o tym piszę w «Zasadach chóralnej deklamacji»; gest, o ile chóralna deklamacja jest nim ilustrowana, powinien być szeroki, powolny, przetrzymywany, przechodzący z jednego w drugi, jednakowy dla wszystkich, względnie, jeżeli chór podzielony jest na grupy, jeden dla każdej grupy, a wykonywany przez wszystkich bardzo równo.

Osoby działające, poza wypowiadaniem swego tekstu, muszą mimicznie wykonywać to, o czym chór mówi. W artykule o inscenizacji piosenki pisałam o chórze stanowiącym ścisłą łączność z akcją, w obecnym przykładzie praktycznym chór będzie spełniał rolę zapowiadającą i objaśniającą widza o tym, co się odbywa na scenie.

Opracujmy gawędę Adama Mickiewicza «Golono, strzyżono».

Z osób działających mamy: Mazura, jego Żonę, Sąsiada, Żyda, Pana, Księdza i kilka lub kilkanaście osób, wchodzących jako mieszkańcy Zgierza.

Chór mieszany, złożony z 6-8 osób, ustawimy przed sceną po obu jej stronach, z jednej kobiety, z drugiej mężczyźni, i damy do deklamacji chóralnej słowa poety bez pomocy gestu.

Inscenizację tę możemy robić na tle firanek, lub ustawiając firanki (kotary) po obu stronach sceny, na tylnej ścianie zawiesimy dekorację, wyobrażającą ogród z sadzawką, lub drogą wiejską.

Przy rozpoczęciu inscenizacji Mazur i jego Żona znajdują się po lewej stronie sceny, Mazur bliżej widzów (obróć się twarzą ku lewej stronie). Żona nieco w głębi zwrócona w prawą stronę. Przy słowach: «Powiedz raczej, że ostrzygli» «Żona zwraca się do Męża, Mąż do niej i stoją naprzeciw siebie. Przy słowach: «Dobrze, że jest suka doma» Mazur obraca się w lewą stronę, nachyla się, jakby chciał pogłaskać sukę, Żona przy słowach «Toć i jam się ucieszyła» robi ten sam ruch,

a po słowach: «Choć też szpetnie ostrzyżona» odchodzi od Męża ku środkowi sceny. Mazur idzie ku niej, tak że kłócąc się, stoją na wprost siebie.

Po słowach: «Tak się kłóć mąż i żona» wchodzi kilkanaście osób, mieszkańców Zgierza, pokazują sobie kłócących się, stają w głębi sceny, podzieleni na grupy i przysłuchują się uważnie. Po słowach: «Ogolona, ostrzyżona» wchodzi z lewej strony Sąsiad, którego Mazur chwytła za rękę i obraca w lewą stronę, jak gdyby pokazuje psa. Z prawej strony wchodzi Żyd, którego chwytła Żona i prowadzi do Męża, po słowach: «Czy golona, czy strzyżona», wchodzi Pan, za nim Ksiądz z prawej strony i po tejże stronie się zatrzymuje. Mazur podprowadza do nich Sąsiada i Żyda, sam staje na środku sceny obok Żony, Księdza, Pana, Sąsiada i Żyda naradzają się z sobą, wszyscy obecni z zaciekawieniem nadśledzają, po słowach: «Że suka jest ogolona» wszyscy, prócz Mazura i Żony odchodzi w prawą stronę. Po ich wyjściu Mazur i Żona kierują się też w prawą stronę w głąb sceny, obchodzą półkolistą linię od prawej ku lewej stronie, tak że na słowa: «U progu suka ich wita» stoją tak, jak na początku inscenizacji.

Podczas słów: «Tylko wzięwszy za rękawki» Mazur chwytła Żonę za ramiona i ciągnie ku prawej stronie w głąb sceny i robi ruch zanurzania jej w wodę. Żona broni się, wydziera, wreszcie jak gdyby tracąc siły, upada, zanurza się kilkakrotnie, wyciągając tylko rękę z rozstawionymi palcami, na słowa: «Mężowi pod nosem strzyże» robi ruch strzyżenia. Na słowa: «Na ten widok uciekł z wody» Mazur puszcza Żonę, przebiega scenę w kierunku lewej strony, a potem z powrotem ku prawej i prawą stronę wybiega. — Żona ucieka lewą stroną. Wszystkie mimiczne sceny muszą być wykonane ściśle według mówionych przez chór słów. Rozdzielmy teraz gawędę na pojedyncze i chóralne głosy.

JEDNA Z OSÓB CHÓRU

U nas, kto jest niby chory,
zwołuje zaraz doktory,
a czując się bardzo słaby,
woła chłopca albo baby.
Ci ze swego aptekarstwa
potrafią i podagrze,
i chiragrze, i suchetom,
i głuchotom, i głupotom
radzić, a i u nich wszakże
nie masz na upór lekarstwa.

CHÓR MĘSKI

Mieszkał Mazur blisko Zgierza,
któremu zginęła suka,

CHÓR KOBIECY

straż domostwa i śpiechlerza.

CHÓR MĘSKI

Gdy jej z zalem i kłopotem
w okolicy całej szuka,

wróciła się w tydzień potem,
ledwie poznał, że to ona,
bo była wpół ogolona.

MAZUR

O, zbóje, żeby ją skryli,
używając takich figli,
że biedaczkę ogolili.

ZONA

Powiedz raczej, że ostrzygli,

CHÓR KOBIECY

Robi mu uwagę żona,

ZONA

bo psów nie gołą, lecz strzygą.

MAZUR

A no, patrzajcież bo mi go,

CHÓR MĘSKI

odezwie Mazur z przekąsem.

MAZUR

Jaka ty mi dyć uczona!
Mając gołę, jak pieść lice,
chcesz nauczać nas pod wąsem
co jest brzytew, co nożyce?
A nasz pan, co mu łysina
prześwieca się, jak ta psina,
myślisz, że jest ostrzyżony?...

ZONA

A wąsiki ekonoma?

CHÓR KOBIECY

Odpowiada zaraz żona.

ZONA

Co mu wiszą, jak u sona
i błyszczą, jak namaszczone,
sąc golone, czy strzyżone?

MAZUR

Bierz ci licho twego pana,
i pana i ekonoma,
dobrze, że jest suka doma,
choć też szpetnie ogolona.

ZONA

Toć i jam się ucieszyła,

CHÓR KOBIECY

Odpowiada zaraz żona.

ZONA

Że się suka powróciła,
choć też szpetnie ostrzyżona.

MAZUR

Głupiaś z twymi nożycami

ZONA

I ty z twoimi brzytwami

MAZUR

Że golona, przypatrz że się!

ZONA

Że strzyżona, pokaże się.

CHÓR CAŁY

Tak się kłóć mąż i żona,
miasto Zgierz całe się zbiega,
i krzyk wkoło się rozlega.

MAZUR

Ogolona!

ZONA

Ostrzyżona!

CHÓR MĘSKI

Idzie sąsiad.

MAZUR

Niechaj przyjdzie,
niech się wpatrzy i przekona,

CHÓR KOBIECY

Idzie żyd.

ZONA

Powiedz-no Żydzie,
czy golona, czy strzyżona?

CHÓR MĘSKI

Od Żyda aż do Plebana;

od Plebana aż do Pana.

Sprawa zapieczętowana:

co Sąsiad i Żyd dowodził,
na to się Pan i Ksiądz zgodził,
że wygrała męska strona.

SĄSIAD, ŻYD, PAN, PLEBAN
że suka jest ogolona.

CHÓR MĘSKI

Wracają do domu strony,

po drodze mąż pyta się żony,
czy wyroku treść pamięta?

CHÓR KOBIECY

Ona milczy, jak zakłeta.

CHÓR MĘSKI

U progu suka ich wita.

MAZUR

Pójdź tu, moja ogolona.

CHÓR MĘSKI

mówi mąż

CHÓR KOBIECY

A kobieta:

ZONA

pójdź tu, moja ostrzyżona.

CHÓR MĘSKI

Mazur wściekły nic nie gadał,
ani żonie odpowiadał,
tylko wzięwszy za rękawki;
wleczkę ją wprost do sadzawki
i topi, jak kadz ogórków.

CHÓR KOBIECY

Ona, nienawykła nurków,
już się zachłystnęła nieraz.

CHÓR MĘSKI

On, trzymając za ramiona,
gnębi, krzycząc:

MAZUR

Ano teraz,

czy golona, czy strzyżona?

CHÓR KOBIECY

Biedaczka ze śmiercią w walce,
czując skonu paralizę,
wytknęła tylko dwa palce,
i tymi dwoma palcami,
jakby dwiema nożycami,
mężowi pod nosem strzyże.

CHÓR MĘSKI

Na ten widok uciekł z wody

CHÓR KOBIECY

Ona poszła do gospody,

CHÓR MĘSKI

On się puścił aż do Zgierza
i tam przystał

CHÓR CAŁY

za żołnierza.

Zasady deklamacji zbiorowej

Deklamacja chóralna, jako wyraz pracy zbiorowej jest niesłychanie pożądanym czynnikiem dla wszystkich zespołów ludowych i szkolnych, ponieważ daje umiejętność mówienia wierszem, wzmacnia głos, wyrabia wymowę, poczucie muzykalności mowy i wyrazistość uczuć.

Zastosowanie chóralnej deklamacji w całokształcie pracy teatralnej może być ogromne. Na każdym uroczystym obchodzie narodowym, na wieczornicy itp. miło jest posłuchać dobrze wykonanej chóralnej deklamacji, na czym zaś polega dobre jej wykonanie, postaram się na przykładzie wskazać i mam nadzieję, że znajdzie ona ogólne zastosowanie w praktyce.

Chóralna deklamacja ma podstawy podobne do chóru śpiewaczego. Zanim przystąpię do omówienia zasad, powiem kilka słów o organizacji. Zebrawszy pewną ilość osób, nie mniej jednak niż 10, wybrać trzeba kierownika, który podobnie jak dyrygent chóru śpiewaczego, opracuje i wyuczy obrany do deklamacji utwór. Chóralna deklamacja może być wypowiadana przez samych tylko mężczyzn, same kobiety, lub dzieci, może być także chórem mieszanym, zależnie od treści danego utworu.

Pierwszym zasadniczym warunkiem dobrego wykonania jest wyraźne wymawianie słów, drugiego równe wypowiadanie utworu, to znaczy, aby nikt pierwszy nie zaczynał mówić i ostatni nie kończył, ale aby wszyscy mówili w jednakowym tempie. Ażeby to osiągnąć, trzeba, aby kierownik nakazał wzięcie głębokiego oddechu przed rozpoczęciem każdego zdania.

Rozpoczynamy naukę chóralnej deklamacji od czytania przez zespół utworu, zwracając uwagę, aby głosy równobrzmiące były ustawione obok siebie, a nie rozrzucone, bo wtedy deklamacja nie będzie brzmiała harmonijnie, a do tego musi się przygotować kierownik, rozdzielając sobie na głosy utwór przed rozpoczęciem nauki z zespołem.

Gdy już zespół jest wyuczony w wyraźnym i równym mówieniu, trzeba opracować zwalnianie i przyspieszanie tempa mowy, zciszenie i podnoszenie głosu, akcentowanie głównych słów w zdaniu, robienie pauzy, czyli przerwy przed słowem, czy zdaniem dla nadania większego znaczenia, przestrzeganie znaków pisarskich, zwłaszcza przecinków i kropek.

O ile deklamacja chóralna nie brzmi dobrze, trzeba z każdą poszczególną osobą opracować cały utwór, czy trudniejsze miejsca, a potem łączyć chóralnie.

Kierownik musi tak dobrze wyuczyć swój zespół, aby ten bez jego pomocy podczas wykonania wypowiadał utwór pewnie i równo, nie może on bowiem tak, jak dyrygent chóru, stać przed nim i dyrygować, może tylko gdzieś z boku dawać na niego baczenie.

Dla lepszego zrozumienia omawianej przeze mnie deklamacji chóralnej, postaram się na przykładzie wiersza M. Konopnickiej: «A jak poszedł król na wojnę» dać wskazówki, jak opracować ten wiersz tak, aby stanowił pewien wzór dla innych utworów.

Wiersz: «A jak poszedł król na wojnę» trzeba podzielić na głosy: męskie i kobiece, względnie o ile chór jest tylko męski czy kobiecy, na głosy niższe i wyższe. Bę-

dziemy jednak mówić o chórze mieszanym. Wszystko, co się tyczy króla, mówią mężczyźni, zaś Stacha — kobiety. Następnie mogą być 2 głosy solowe: kobiecy, który powie: «Stach śmiertelną dostał ranę»; męski — «król na zamek wraca zdrowy».

Podzieliwszy w ten sposób na głosy, rozpoczniemy pracę: pierwszą strofkę zaczynają mężczyźni, w tempie niezbyt szybkim, głosem normalnym, tonem radosnym. Słowa akcentowane mocniej zaznaczamy drukiem rozrzuconym, pauzy przed słowem linią pionową.

M ę ż c z y ż n i :

A jak poszedł król na wojnę,
grały mu surmy zbrojne,
grały jemu surmy złote,
na zwycięstwo, / na ochotę.

Słowa: «na zwycięstwo» trzeba powiedzieć głosem silniejszym, «na ochotę» jeszcze silniejszym.

Drugą strofkę mówią kobiety, dość wolno, tonem smutnym, ostatni wiersz jeszcze zwalniając. Dla wyrazistości mowy przez wydobywanie obrazu falowania wody i kołysanie kłosów w słowie: «zaszumiały» trzeba przeciągnąć literę «a», tak jakby było pisane przez dwa «a», t. j. «zaszumiaały», w słowie: «zaszumiało» — przez trzy «a», t. j. «zaszumiaaalo».

K o b i e t y :

A jak poszedł Stach na boje,
za szumiaały jasne zdroje,
za szumiaaalo kłosów pole,
na tęsknotę, / na niedolę.

W trzeciej strofke pierwszy wiersz mówią mężczyźni w tempie szybkim, z pewnym łękiem w głosie; drugi — kobiety; trzeci — głos kobiecy z krzykiem rozpaczliwym — mężczyźni, w tempie wolniejszym i z dumą w głosie; czwarty — kobiety smutno, coraz wolniejszym i cichszym głosem.

M ę ż c z y ż n i :

A na wojnie świszczą kule,

K o b i e t y :

lud się wali jako snopy,

M ę ż c z y ż n i :

a najdzielniej biją/ króle,

K o b i e t y :

a najdzielniej giną/ chłopcy.

Czwarta strofka podzielona podobnie tak, jak trzecia, t. j. pierwszy wiersz mówią mężczyźni wolno, cicho, jak gdyby nadsluchując, drugi wiersz w ten sam sposób kobiety; trzeci — głos kobiecy z krzykiem rozpaczliwym, dość szybko; czwarty — głos męski, wolno, głośno, radośnie.

M ę ż c z y ż n i :

Szumia orły chorągwiane,

K o b i e t y :

skrzypi kędyś krzyż wioskowy,

G ł o s k o b i e c y :

Stach śmiertelną dostał ranę,

G ł o s m ę s k i :

król / na Zamek wraca zdrowy.

Piątą strofkę mówią wszyscy razem, mężczyźni i ko-

biety, bardzo mocno, radośnie. Dwa pierwsze wiersze dość szybko, dwa ostatnie wolno, tonem śpiewnym, na śladującym bicie dzwonów.

W s z y s c y :

A jak wjeżdżał w jasne wrota,
wysła przeciw zorza złota,
i zagrały wszystkie dzwony
na słoneczne światła strony;

Ostatnią strofkę mówią same kobiety, wolno i smutnie, jak gdyby ze łzami, ostatnie dwa wiersze głosem cichym, śpiewnym, naśladującym bicie dzwonów cienkich, bardzo wolno.

K o b i e t y :

A jak chłopu dół kopali,
zaszumiały drzewa w dali,
dzwoniły mu przez dąbrowę,
te dwoneczki, /te/ liliowe...

Widziałem polskie obozy w Niemczech

O ile w ramach krótkiego felietonu można coś uwzględnić «szerzej», «coś innego», «krócej» — to po mej kilkudniowej podróży po amerykańskiej i francuskiej zonie okupacji w Niemczech, chciałbym stosunkowo krótko zatrzymać się nad wrażeniami, szerzej natomiast podzielić się refleksjami, naogół niebardzo dla na weolymi i pochlebnymi.

Pogranicze francuskie jest senne, bez dzieci, wymarłe i jakby jeszcze wystraszone wojną, mimo że zniszczenia są nieznaczne, że Francja jest krajem zwycięskim. Ożywiają to pogranicze tylko pociągi z węglem, które wbrew temu ci się wypisuje w gazetach idą jednak z Ruhry do Francji. Po stronie niemieckiej jest dużo, nawet bardzo dużo zniszczeń, o jakich Francuzi mogą mieć tylko słabe wyobrażenie, ale miasta, względnie ich resztki, są dobrze oświetlone, ludzie jacyś odświętniejsi, schludniej ubrani, a ulice n. p. Frankfurtu pełne są młodzieży. Kontrast jest tym większy, że o stratach niemieckich pisało się mnóstwo rzeczy i że Niemcy przegrały wojnę.

Miasta mocno są wylepione afiszami partii socjaldemokratycznej, apelami zarządów miejskich o potrzebie oszczędzania opału i walce z czarnym rynkiem i potajemnym ubojem, wezwaniami zarządu wojskowego Sprzymierzonych, który teraz przypominał sobie o rozkazie oddawania rzeczy należących do armii amerykańskiej: broni, sprzętu i t. d. Widzi się dużo obwieszczeń i zarządzeń, proponujących znaczne kredyty na odbudowę — na dobrych warunkach. Mimo, że Niemcy są dobrymi organizatorami, odbudowa nie idzie naprzód, a nawet w tempie mogno zwiększonym zapowiada się na 15 — 20 lat.

Niemcy wszyscy mówią, że oni nie winni, że Hitler tak chciał, — że to co przyszło było zasłużone i nieuniknione — ale wszyscy też mówią, że nie wierzą w śmierć Hitlera, że on jeszcze żyje i coś przygotowuje. Nikt z nich nie należał do partii. Są usłużni, płascy i głodni — ale często «stawiają się», bo właściwie okupacja Niemiec to jedna z większych «bujd»: ze strony okupanta nie ma nic tego, coby trochę przypominało czasy niemieckie we Francji.

Na terenie obu okupacji jest dużo ośrodków polskich, deportowanych i wojskowych. Prawie połowa wróciła już do kraju, reszta nie chce, lub narazie czeka «na wybory», «na nową wojnę», «czy na lepsze transporty». U podłoża wszystkich racyj i powodów leży częściej, niestety — wygodnictwo, łatwizna życia bez pracy, możliwości czarnego rynku — niż prawdziwe czy urojone różnice zapatrywań politycznych.

Zwiedzanie i poznanie ośrodków polskich w Niemczech pozostawia przynębiające wrażenie. Demoralizacja tych mas wzrasta do miary kłęski i złowróbnego symbolu. Oczywiście, są wyjątki, są ośrodki promieniujące, ale ogół jest szary i smutny, przynębiający. Może ja te rzeczy widzę zbyt czarno, bo pewno nie rozumiem psychiki deportowanego, bo nie znam piękła ich przejść, bo — z różnych powodów, usprawiedliwień tych ludzi, dla których najwyższą cnotą było przez lata wojny szkodenie Niemcom, czyli wogóle szkodenie i zło, bo wszystko wokół było niemieckie.

Polacy na 37 narodowości, jakimi opiekuje się U. N. R. R. A. mieli **ostatnią** lokatę jeśli chodzi o opinię i zachowanie, według oficjalnego oświadczenia na konferencji kierowników obozów UNRRA. Okupant napewno najbardziej nas prześladował, deportował i demoralizował — ale jest aż tak źle?

Kilkunastoletni analfabeci, — większy niż wśród innych narodowości odsetek kradzieży, rozbójów, lenistwa i kłótni, — dziewczęta «puszczające się» na lewo i na prawo — straszna apatia i niezadowolenie ze wszystkiego i wszystkich, — język, o jakim zawodowi kaprale nawet nie śnili — wszystko to wielki dzwon na trwogę, to iwelki krzyk o pomoc. (c. d. n.).

Wznowienie Polskiego Tow. Przyjaciół Książki w Paryżu

Po sześciu latach przymusowej bezczynności, spowodowanej okupacją, Polskie Tow. Przyjaciół Książki w Paryżu wznowiło swoją działalność. Zebranie inauguracyjne Towarzystwa odbyło się przy licznych udziałach bibliofilów polskich w dz. 19-go stycznia w Bibliotece Polskiej.

Zagał zebranie dyr. Fr. Pułaski, przedstawiając w dłuższym słowie wstępnym tragiczne losy zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu za czasów okupacji niemieckiej. W dalszym ciągu pod przewodnictwem B. Przegalińskiego potoczyły się obrady na temat przeszłej i przyszłej działalności Towarzystwa.

Do nowego Zarządu Towarzystwa zostali wybrani: pp. Maria Szurek-Misti, J. Boratyński, K. Braudel, A. Kosko, J. Małenczyński, St. Mrożewski i B. Przegaliński. Do Komisji Rewizyjnej Towarzystwa weszli: pp. Irena Krzywicka, dyr. F. Pułaski, prof. Z. L. Zaleski i ptk. Zdrojewski.

Na zakończenie zebrania odczytano dłuższy list z kraju od b. prezesa Towarzystwa, dyr. St. P. Koczorowskiego o tragicznych losach bibliotek w Warszawie. Jednogłośnie uchwalono przesłać dyr. St. P. Koczorowskiemu zapewnienie o serdecznej sympatii, mianując go zarazem członkiem honorowym Towarzystwa.

Między nami

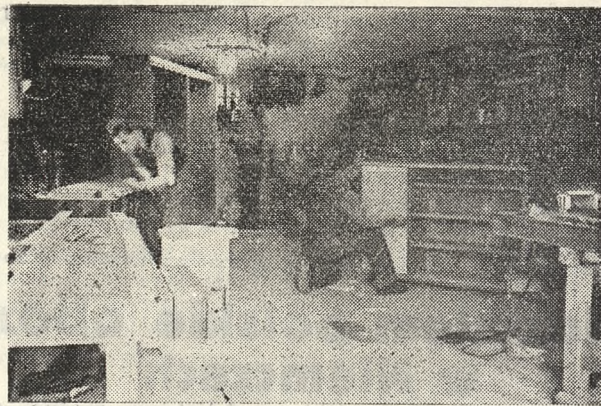
Z KLUBU POLSKIEJ Y. M. C. A. W PARYŻU

W Klubie Y.M.C.A. urządzono już następujące wieczory literackie Klubu Sowizdrzałów: 1. Bronisław Kamiński, Ryszard Matuszewski i Andrzej Cheiuk, — 2. Małgorzata Hołyńska, Bronisław Kamiński i Gustaw Morcinek, — 3. Irena Krzywicka, — 4. Rosa Bailly (w języku francuskim), — 5. Roman Kowalczki, — 6. Romana Dalborowa, 7. Alan Kosko (tłumaczenia z francuskiego), — 8. Zofia Nawrocka, — 9. Piotr Wiszniewski. Wkrótce odbędzie się wieczór Jana Winczakiewicza.



Kantyna YMCA w Münchenbuchsee

Kilka zdjęć z pracy Polskiej Y.M.C.A. w Szwajcarii



Warsztaty kursów YMCA

TRUPA ARTYSTYCZNA POLSKIEJ Y. M. C. A. NA TERENIE NIEMIEC

Ruchliwy ośrodek Polskiej YMCA w Konstancji zorganizował ostatnio trupę artystyczną, która objeżdża południowe i zachodnie Niemcy, dając swe przedstawienia w polskich ośrodkach deportowanych i obozach wojskowych.

Impreza cieszy się dużym powodzeniem.

ZESPÓŁ POLSKIEJ YMCA Z FRANCJI NA TERENIE NIEMIEC

W listopadzie ub. roku wyjechał z Francji na teren Niemiec do okupacji amerykańskiej i francuskiej team naszych imkarzy z kol. kol. Władysławem Czyżowskim i Janem Jakubowskim. Team ten w najbliższym czasie, wobec ogromu zadań najprawdopodobniej rozwinie się w poważny ośrodek pracy Polskiej YMCA z Francji przy Komitecie Światowej YMCA w Niemczech.

Zespół ten założył dotychczas 8 świetlic w wielkich ośrodkach deportacyjnych w okolicy Ulm, Stuttgart i Monachium, urządził kurs dla pracowników oświatowych i kierowników świetlic, zorganizował i prowadzi szkołę malarską, gdzie miejscowi amatorzy przygotowują plansze i dekoracje do dalszych świetlic i zorganizował kilka zespołów orkiestrowych i sportowych.

Zespół pozostaje pod bezpośrednim zwierzchnictwem p. D. A. Davisa, znanego naszym imkarzom z kursu w Alvernac.



Na zdjęciu p. Tomasz Kozłowski, kierujący działalnością YMCA dla internowanych w Szwajcarii żołnierzy II. Dyw. S. P. — w rozmowie z p. Johannot, zastępcą sekr. generalnego Komitetu Światowego YMCA.

Światowa i polska YMCA pracują w Niemczech

We wrześniu ubiegłego roku podjął pracę na terenie Niemiec Zespół Nr. 3 światowej YMCA w składzie: Józef Bednarek, Stanisław Izdebski, Juliusz Nielsen oraz Eustachy Sokulski. Praca tego zespołu miała charakter eksperymentalny. Chodziło o przekonanie się jak wyglądają warunki w przeciętnym obozie dla Polaków w Niemczech oraz jakie są możliwości przyjscia naszym rodakom z pomocą. Wybrano ośrodek w Fallingbostel, nazwanym przez Polaków «Kujawy». Ośrodek ten zawiera w sobie kilka obozów, cywilnych i wojskowych, szpitale, szkoły dla młodzieży i przytulki dla dzieci. Łącznie było Polaków w ośrodku wojskowym: b. jeńców z kampanii wrześniowej 2.354 i z obrony Warszawy 223, oraz ludności cywilnej 23.088. Około 1.000 osób, przeważnie mężczyzn, zostało zatrudnionych przez brytyjskie władze okupacyjne przy pracach budowlanych, naprawie dróg, przy cięciu lasów, oraz w administracji. Wynagrodzenie ich wynosiło około czterech marek dziennie, oraz wyżywienie i dwie paczki papierosów na tydzień. Normy żywienia były mniej więcej takie, jak ogólnie we wszystkich obozach wysiedleńców. Młodzież chodziła do sześciu szkół powszechnych, oraz do gimnazjum wraz z liceum; starsza młodzież uczyła się na czterech kursach specjalnych.

Zespół postawił sobie za zadanie pomoc materialną oraz dopomaganie czynnikom oficjalnym w ich wysiłkach. Na pierwszym planie postawiono zagadnienie wyposażenia szkół, dostarczenia rozrywek kulturalnych, przyrządów sportowych, organizację świetlic, odczytów i t. p. W tym celu już na wstępie opracowano dokładny plan pracy i przedstawiono go do zatwierdzenia czynnikom, zarówno brytyjskim, jak i polskim, oraz samorządowi ośrodka wysiedleńców. Plan pracy Zespołu został dokładnie przedyskutowany i po kilku rozmowach uzyskał całkowitą aprobatę wszystkich zainteresowanych stron.

Z inicjatywy kierownika Zespołu został powołany do życia Komitet YMCA w ośrodku Fallingbostel — «Kujawy». W skład tego Komitetu weszli: jeden przedstawiciel obozu wojskowego, jeden przedstawiciel obozów cywilnych, trzech przedstawicieli szkół, trzech przedstawicieli sekcji kulturalno artystycznej, trzech przedstawicieli sekcji sportowej i wychowania fizycznego oraz kwatermistrz obozu. Komitet podzielił swą pracę na poszczególne komisje: wychowawczą, kulturalną i artystyczną, sportową i wychowania fizycznego oraz administracyjną. Poszczególne komisje przyjęły na siebie odpowiedzialność za wykonanie programu prac oraz podjęły się samodzielnego prowadzenia w zakresie swych specjalności roboty społecznej na terenie obozów.

Zespół uruchomił również na terenie obozu swoje biuro oraz magazyn z towarami.

Rozdano pomiędzy poszczególne obozy i instytucje pięćdziesiąt procent całego zaopatrzenia. Szkoły otrzymały: 363 bloków do pisania i notesów, 5 książek handlowych, 4 paczki papieru do pisania, 6 paczek z kopertami, pudełko kalki, 12 tuzinów kredy, 12 linijek, 5 ekierok, 30 żarówek, 576 ołówków, 200 bloków do rysowania, 3.000 zeszytów. Komitet szkolny i sekcja wychowania otrzymały wspólnie 1 maszynę do pisania. Orkiestra dostała: 1 flet, 1 trąbę, 2 gitary i 100 arkuszy nut. Chór dostał 100 arkuszy nut. Rewia wojskowa

otrzymała materiały do dekoracji, oraz farby. Instytucje społeczne i świetlice otrzymały 7 gramofonów, 7 pudełek igrzek i 182 płyty. Sekcji wychowania fizycznego dano: 10 par gimnastycznych pantofli, 20 par butów do gry w piłkę, 20 koszulek gimnastycznych, 8 ręcznych piłek, 2 piłki treningowe do boks, 16 par rękawic bokserskich, 14 zeszytów oraz 10 bloków.

To były dary Zespołu światowej YMCA. Do tego Polska YMCA ze swojej strony dodała: 160 książek, 800 numerów rozmaitych publikacji i wydawnictw periodycznych, 90 rysunków i map, 30 książek do nauki, 16 książek dla dzieci, 20 kompletów gier, oraz 18 zbiorów pieśni. Jest oczywiste, że fotografie, rysunki i mapy dotyczyły przede wszystkim Polski, również zbiory pieśni zawierały melodie ojczyste.

Wkrótce potem Polska YMCA dostarczyła dalszych 95 książek polskich, 1170 egzemplarzy rozmaitych publikacji, 90 obrazów, map i innych materiałów dekoracyjnych, 8 gier świetlicowych, 5.000 papierosów, 2.000 porcji kawy, 500 porcji zup, 30 puszek mięsa oraz cztery battle dress'y.

Praca Zespołu Nr. 3 trwa nadal w tym samym ośrodku. Po okresie eksperymentalnym zespół rozwija już normalną i stałą działalność, współpracując z miejscowym zespołem UNRRA, przedstawicielami P. C. K. i innymi organizacjami społecznymi. Osiągnięte przezeń rezultaty staną się niewątpliwie cenną wskazówką i przykładem w pracy innych zespołów YMCA.

Z wydawnictw Polskiej YMCA w W. Brytanii

«Ślakiem Muzy Polskiej» — taki tytuł ma opracowanie sceniczne, które stanowi treść ostatniego, 61 numeru «Poradnik dla pracowników świetlic żołnierskich». Na treść numeru złożyły się najcharakterystyczniejsze fragmenty naszej literatury klasycznej z okresu Polski Przedrozbiorowej. I tak znajdujemy wiersze, fraszki, wspomnienia i satyry — Rey'a, Kochanowskiego, Paska, Kochowskiego, Morsztyna, Karpińskiego, Trembeckiego i Krasickiego. Całość ma formę widowiska, w którym, obok wspomnianych autorów występują symboliczne postacie poszczególnych epok, jak Żak, Marysieńka, Pani Kossowska itp. Przy puszczalnie redakcja «Poradnika» przyjęła formę widowiska, jako bardziej atrakcyjną. We wstępie redaktorzy zaznaczają, że zarówno całość tego widowiska, jak i jego poszczególne części mogą być wystawiane w rozmaitych, nawet bardzo prymitywnych warunkach.

Tak jest niewątpliwie. Więc takie rozwiązanie wydaje się najlepsze. Ta sama treść podana w jakimś porządku chronologicznym, według schematów przyjętych w podręcznikach literatury mogłaby przeciętnego, nie zawsze zbyt bardzo ze szkołą otrąaskanego bywalca świetlicy zarazić swą pozorną monotonią i zbyt suchą formą wykładu. Oficer oświatowy, czy opiekun miałby tu niewątpliwie pewną inicjatywę do wykazania, mógłby sam ułożyć widowisko, nadać mu formę sceniczną przedstawić je żołnierzom ze swej świetlicy. Mogłby, ale czy wystarczyłoby mu pomysłowości? Czy nie zabrakłoby mu czasu na wprowadzenie w życie swych pomysłów? Czy byłby w stanie to uczynić?

Układ 61 nr. «Poradnika» rozstrzyga to wszystkie

wątpliwości. Polska YMCA w swej pracy wydawniczej zawsze dążyła do udzielenia jak największej pomocy pracownikom społecznym kierownikom świetlic, oficerom oświatowym. Pocóż mają improwizować, jeśli mogą dostać materiał gotowy? Pocóż mają pracować nad całością, jeśli mogą całą swą energię i pomysły włożyć ku upiększeniu, czy też rozwinięciu szczegółów?

Sam pomysł przedstawienia w popularnym skrócie rysów obyczajowych i literatury przedrozbiorowej jest pomysłem, więcej, niż szczęśliwym. Z nieznanych, zapewne przypadkowych, a w każdym razie niemożliwych do uzasadnienia powodów literatury Polski przedrozbiorowej była dziedziną zastrzeżoną dla tzw. inteligentów. Wychodziło się niestety aż za często, z założenia, że jest ona zbyt daleka i obca ludziom, którzy nie przeszli przez szkołę średnią i nie przyswoili sobie pewnego, minimalnego zresztą zasobu wiedzy z dziejów języka polskiego. Uważano, że twórczość Reya, Kochanowskiego, czy Paska jest zbyt odległa w czasie i zbyt obco brzmiąca dla dzisiejszego Polaka, aby ją popularyzować i stawiać do dyspozycji obecnym pokoleniom.

Trudno było o bardziej fałszywe stanowisko. Poezje Kochanowskiego do dziś nie utraciły ani swych wartości filozoficznych, ani swego lirycznego dźwięku. Fraszki Reya, czy Potockiego brzmią wciąż tym samym złotym humorem najwyższej klasy. Satyry Krasickiego może by dziś zyskały wiele uzupełnień, wiele nowej ironii, nie mniej jednak w rdzeniu swym są wciąż tak samo aktualne. Przede wszystkim zaś krótki przegląd literatury Polski Przedrozbiorowej daje korzyści zupełnie niewymierne. Pozwala na podkreślenie ciągłości naszych dziejów. Przypomina przeszłość, dawną wielkość, utrwała poczucie łączności z minionymi epokami, popularyzuje historię. Ludziom, rozrzuconym dziś po świecie, wtłoczonym w bardzo różne ramy życia, pozwala na rzetelną, i obiektywną ocenę ich rzeczywistości, na zrozumienie, że to wszystko, przez co przechodzą jest właściwie tylko częścią dziejów ich narodu.

Widowisko p. t.: «Szlakiem Muzy Polskiej» może i powinno radykalnie usunąć wiele powstających kompleksów niższości. Powinno wzmocnić poczucie dumy narodowej, zrozumienie własnej wartości i roli Polaków, zarówno w kraju, jak i na ziemiach obcych. Musi wreszcie pozwolić językowi polskiemu na odżycie, na otrząśnięcie się z wielu obcych, wojennych i żargonowych naleciałości.

Wielką zaletą tego widowiska jest jego niezmierna prostota. Nawet w najuboższej, najbardziej prymitywnej świetlicy jest ono możliwe do wystawienia przy zachowaniu pewnych konwencji np. co do stroju. Co najmniej jeden wieczór w każdej świetlicy może stać się wieczorem pozytywnie i mile spędzonym. A to już jest — bez przesady — osiągnięciem, które należy podkreślić i które ma swą dużą wartość.

Tekst i rysunki Nina Nahlik.

Wydawca, oczywiście — Polska YMCA.

Tomasz Kozłowski w Paryżu

Do Paryża przybył p. Tomasz Kozłowski, który po zakończeniu pracy dla Polaków w Szwajcarii objął w «Aide aux Prisonniers de Guerre» przy Komitecie światowym YMCA kierownictwo działu opieki nad Polakami w obozach deportowanych we Francji.

P. Kozłowski jest jednym z najstarszych imkarzy w Polsce. Ostatnio był On dyrektorem ogniska Polskiej YMCA w Łodzi, które funkcjonowało w wspaniałym gmachu własnym (gdzie mieściły się nowoczesnie wyposażone: sala gimnastyczna, basen, natryski i wanny, sale wykładowe, czytelnie i t. p.)

Oczywiście p. Kozłowski pozostaje w stałym i ścisłym kontakcie z Biurem Głównym Polskiej YMCA we Francji.

ODCZYT Y POLSKIEJ YMCA W PARYŻU

W lutym, jak i w poprzednich miesiącach, w klubie YMCA odbywają się popularne odczyty. Oto ich program na luty:

Poniedz., 4 lutego 46 r.	Dr. Marek St. KOROWICZ,
Wtorek, 5 lutego 46 r.	Liga Narodów a Organizacja Narodów jednoczonych.
Środa, 6 lutego 46 r.	Dr. Michał SZCHANIECKI, —
Czwart., 7 lutego 46 r.	Dzieje społeczne Polski Piastowskiej.
Poniedz., 11 lutego 46 r.	Prof. Dr. Zygmunt L. ZALESKI. — Polska wśród obcych.
Wtorek, 12 lutego 46 r.	Alfred SIEBENEICHEN. —
Środa, 13 lutego 46 r.	Podstawowe zagadnienia polskiej polityki zagranicznej.
Czwart., 14 lutego 46 r.	Prof. Bol. PRZEGALIŃSKI.
Poniedz., 18 lutego 46 r.	Polacy w świecie: 1) Historia emigracji polskiej.
Wtorek, 19 lutego 46 r.	2) Emigracja zamorska,
Środa, 20 lutego 46 r.	3) Emigracja kontynentalna.
Czwart., 21 lutego 46 r.	
Poniedz., 25 lutego 46 r.	
Wtorek, 26 lutego 46 r.	
Środa, 27 lutego 46 r.	

PORADNIK TECHNICZNY.

Jak zawsze, w tej rubryce przeznaczonej dla pracowników oświatowych, parę słów, charakteryzujących numer pod kątem jego przydatności w pracy świetlicowej.

Jeśli chodzi o wykorzystanie numeru, nie powinno przedstawiać żadnych trudności przerobienie kilku artykułów (Zawód, Praca, jako zagadnienie kultury, Narody młode) na pogadanki, lub większe artykuły żywego dziennika. Kolumna Literacka dostarczy dobrego materiału do zrobienia wieczoru literackiego (w środowisku na pewnym poziomie) co uzupełnione żywą konferansjerką i odrobiną muzyki, może dać dobrą imprezę. Ciekawostki i drobne artykuły, jak również felieton Wiechu to pożyteczny materiał przy układaniu żywego dziennika. Inscenizacje i deklamacje chóralskie można zrobić wszędzie.

Trzeba — mając pod ręką materiał — zdobyć się na trochę energii i silnej woli plus trochę inicjatywy — i można mieć w świetlicy imprezy, ku zadowoleniu własnemu i innych.

Pamiętajmy, że zima to dobry okres dla wszelkiego rodzaju turniejów świetlicowych (ping-pong, bilard, szachy, damki, koniki, strzałki, gry towarzyskie, konkursy opowiadań, przeżycie i t. p.). Urządzmy je, pamiętajmy tylko zawczasu o dobrych nagrodach.

Wieczory zimowe chętniej niż w innych porach roku gromadzą ludzi w świetlicy, oczywiście o ile jest ona ciepła. Warto i trzeba pamiętać więc o godziwym wypełnieniu tych wieczorów dobrym kominkiem, żywym dziennikiem, czy turniejem.

J.

Życie polskiego

Na zaproszenie rządu i PEN-klubu francuskiego przyjechała ostatnio do Paryża delegacja pisarzy polskich, złożona z Zofii Nałkowskiej, Jarosława Iwaszkiewicza, J. Brezy i E. Rudnickiego.

Przyjazd ten jest doniosłym wydarzeniem kulturalnym i odbił się szerokim echem w francuskich sferach literackich i artystycznych. Poza tym odbył się ich wieczór autorski, zorganizowany przez P. C. K. we Francji. Staraniem YMCA i Stow. Inteligencji Pracującej został zorganizowany odczyt Jarosława Iwaszkiewicza, który mówił o swych przeżyciach w Polsce wyzwolonej z okupacji niemieckiej.

Z listów do redakcji

OBÓZ POLSKI, HOMBURG (Sarre).

Szanowny Panie Redaktorze!

Przede wszystkim pragnę podziękować polskiej Y.M.C.A. za myśl wydania pisemka, które mówi nam o ukochanym naszym, a wciąż jeszcze dalekim kraju, które niesie piosenkę, utrzymuje w nas to, cośmy już kiedyś poznali, czegośmy się nauczyli, a co usiłowano nam wydrzeć w latach niewoli, w latach przymusowej pracy na wrogiej ziemi.

Już to jeńcy wojenni bardziej przez Y.M.C.A. faworyzowani byli bo pisało się dla nich i wydawało książki, mające na celu utrzymanie w nich zdobytej już wtedy wiedzy, a nawet, w przystępny sposób podanie nowych wiadomości.

My, liczne zastępy deportowanej z kraju młodzieży, nie mieliśmy tego. I jakże nieraz trudno było w codziennym obcowaniu z cudzoziemcami z jednej, a alfabetami pełnymi lub ze słabo tylko ze sztuką pisaną i czytania zapoznanymi rodakami, nie zapomnieć jednak tego, co się w kraju zdobyło, nie mówiąc już o rozszerzaniu zakresu wiedzy.

Każda polska książka (a było ich tak niewiele) chwyтана była bez zastanowienia się, czy warto czytać, czy przyniesie pożytek. Była polska, a to już mówiło wszystko. Czytało się wszystko, byle w ojczystym języku.

A co dopiero za radość, gdy który z jeńców pożytył jedną z książek wydawanych w Szwajcarii przez Y.M.C.A. Nie czuło się zmęczenia po 11-to godzinnej pracy i sen nie kleił powiek przy jej czytaniu.

Pamiętam, z jaką zazdrością patrzyły na mnie koleżanki, gdy po powrocie z urlopu w Austrii, gdzie poznałam pewnego jeńca zaczęłam otrzymywać od tego przyjaciela książki. Jak przechodziły one potem z rąk do rąk rozchwytywane, upragnione.

Otrzymyłam też listy, obszerne interesujące listy.

Każdego dnia poczta przynosiła mi 3-5 listów i każdego niemal wieczoru tyleż ich wychodziło z pod mego pióra.

Jeńcy urządzali koncerty i rewie, materiał do których czerpali z przesyłanych im książek.

My urządziłyśmy sobie pewnego wieczoru ognisko, na wzór tych dawnych, zapamiętanych z kraju Ognisk harcerskich i peowiackich. A potem było ich więcej, były bodajże jedynymi miłymi chwilami w naszym trudnym życiu. Nie, były jeszcze inne, ale te nie trwały długo. Przez pewien okres czasu dostępne nam były audycje radia polskiego z Londynu (oczywiście bez wiedzy naszych «opiekunów»). Niebezpieczeństwo z tym związane? Ktoś, kto tak pomyśli musiałby być wśród nas w chwili, gdy po raz pierwszy z głośnika naszego popłynęły polskie słowa, widzieć, jak zerwały one z łożek uspięne, zdawało się już dziewczęta. Jak grupowały się one wokół głośnika bez słowa szelestu, by nie uronić nic z tej, tak dawno już niesłyszanej audycji. Musiałby słyszeć, jak tłukły się serca, jak słowa znanej piosenki «Haniś moja Haniś, cóżes za Haniś» na zakończenie owego dziennika wycisnęły lzy z oczu, by zrozumiał, że w takiej chwili nie myślało się o niebezpieczeństwie, że za taką chwilę oddałoby się wiele.

A dzi? Od wielu już miesięcy ucieł huk artylerii, umilkły głosy syren alarmowych. Rozpoczęła się praca nad odbudowaniem zniszczenia, nadrobieniem straconych lat.

A my... siedzimy nadal w obozach.

Pracuje młodzież w biurach obozowych, w pracowniach krawieckich i mechanicznych, udziela to, co zdobyła dotąd młodszym, nieumiejącym zupełnie nic.

Są Polacy na uniwersytetach zagranicą, są gimnazja na terenie okupacji amerykańskiej i angielskiej.

I właśnie tutaj chciałabym zapytać Panów z Polskiej Y.M.C.A. czy dla nas, dla młodzieży w wieku od 16-24 lat nie ma żadnych możliwości doksztalcania się. W Warszawie istniały jeszcze do powstania Kursy (tajne wprawdzie), ale były. Ale my w Łodzi, Poznaniu, na Śląsku i na Pomorzu nie mieliśmy nic, a co dopiero młodzież, którą deportowano już w 1939 i 1940 roku.

Nie lękam się pracy i pracuję od pierwszego dnia mego przybycia do obozu, ale tak bardzo chciałabym uczyć się.

My tutaj nie mamy ani podręczników, ani też kogoś, kto by mógł i chciał podjąć się trudu uczenia nas.

Oboz nasz liczy ponad 1.400 mieszkańców, a w tym byłoby kilka osób pragnących się uczyć.

Chętnie też czytaliśmy «Razem» w świetlicy naszej. Brak też materiału rozrywkowego dla teatryku amatorskiego.

Gdy tak czytałam numery «Razem» (wpadły mi w rękę numery ze stycznia, lutego, marca i lipca) mówiące o życiu kulturalnym Polaków we Francji, o kursach handlowych, o imprezach rozrywkowych, zrobiło mi się przykro, że my tutaj nie możemy mieć nic z tego, że nadal, tak jak już od tylu lat niedostępne są nam ni szkoły ni kursy.

Gdyby tak Polska Y.M.C.A. znalazła jakiś sposób na udostępnienie nam tego! Chęci i zapału w nas sporo, brak tylko kierowników i materiału. I o to dzisiaj proszę.

W nadziei, że Polska Y.M.C.A. nas nie opuści przesyłam pozdrowienia i staropolskie «Bóg zapłać».

Łódzianka z obozu niemieckiego, Homburg (Saare).

Dwie książki o obozach

Dla nas, cośmy szczęśliwie uniknęli grozy niemieckich obozów koncentracyjnych, każde opowiadanie czy wspomnienie zza drutów, pachnące dymem pieców krematoryjnych i śmiercią — mimo straszliwej prawdy faktów i opisów, miejsc i metod, posiada w sobie coś nierealnego, jakby przekraczającego naszą wyobraźnię i nasze odczucie i miarę zła. Nie wierzymy, nie do wierzymy, a nawet wierząc nie umiemy rozstawić tych wrażeń i ocen w skali naszych pojęć dobrego i zła, tak to zło i zbrodnia przekracza wszystko, co w życiu narosło u nas i samo się posegregowało.

Dlatego też wagę i charakter osobliwego i straszliwego w swej wymowie dokumentu posiadają dwie książki o obozach, wydane ostatnio na terenie Francji: Gustawa Morcinka «Listy z pod morwy», «Sachsenhausen i Dachau» i Pelagii Lewińskiej «Oświęcim — pogarda i triumf człowieka».

Pamięć ludzka jest zwodna, a niepamięć jest jednakowo przychylna dla wspomnień dobrych i złych — na ogół jednak w czasie one giną. Literatura, wyrosła w obozach Dachau, Buchenwaldu, Oświęcimia, Sachsenhausen, Mauthausen i ty i innych miejsc odosobnienia i zbrodni reżimu hitlerowskiego — jest już dziś bogata, wszechstronna i wielojęzyczna. Wszystkie te rzeczy, mniej lub więcej literackim językiem pisane mają dużo cech wspólnych: wyrosły z tych samych pobudek, pisane zawsze są krwią i sercem i **na tle podłości i zbrodni ukazują, wyszukują i bronią człowieka**, tego dobrego Człowieka Polski, Francji, Rosji, Czech, Jugosławii, Grecji, Człowieka wszystkich państw podbitych lub będących w zależności od Niemiec lub nawet z samej Rzeszy — **podając mu jak ewangelie słowa miłości i wiary ponad wszystkie uprzedzenia i różnice klasowe, narodowe i polityczne, podając wszystko to, co może łączyć, ponad to co dzieli, lub mogłoby jeszcze w przyszłości dzielić**. Równocześnie rozprzestrzeniają po świecie tę wielką prawdę, że i wielkim i małym tego świata **nie wolno roztrwonić i rozmięnić na drobne wielkości tej ofiary życia i cierpienia milionów, co poszły w piec krematoryjne i w komory gazowe, co marły z chorób, głodu i upodlenia, by śmiercią swą zadokumentować prawdę i wykazać dno zbrodni, w jaką wpadł człowiek w okresie «najwyższej» cywilizacji, by nauczyć tych, co zostali przy życiu i tych co przyjdą, słów o potrzebie wykreślenia nienawiści raz na zawsze z tego, co kiedykolwiek między ludźmi być może**.

Na tle swych rozważań i wspomnień, przetykanych rzeczywistością wolności i piękna Alp, wśród których odszukuje swą wiarę w uśmiech, człowieka i w Boga, by móc wreszcie powiedzieć... «i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...». Morcinek swych listach do kogoś w Polsce doszukuje się uparcie, maniacko i pięknie Człowieka. Aczkolwiek czasem wydaje się nam, że my w tym procesie myślowym nie szlibyśmy tak, bo czasem podejrzewamy Autora o pewne chwytły artystyczne o zbyt świadome mieszanie kontrastów gór i komór gazowych (może dlatego, że sami mieliśmy szczęście tego nie zaznać) — to piękny język Morcinka i jego dobrotliwe i mądre spojrzenie na ludzi i ich sprawy, zarówno dobre jak i złe, równoważą te rzeczy i

w sumie dają przeżycie, jakim rzadko kiedy indziej może być książka. Szkoda też, że zawsze dialogi są w gwarze śląskiej, dając prymityw odczucia (dla lepszego kontrastu) — że zawsze ułatwiają Czytelnikowi przyjęcie sercem tego, co mu podają. Byli w obozie przecież nie tylko Ślązacy. Zbliżyłoby to nas wszystkich do ich spraw i ich reakcji. Dziwić się jednakowoż temu nie należy zbytnio, wszak Morcinkowi piewcy Śląska i jego kochanemu Człowiekowi przez sześć lat obozu nie danem było wypisać się z tego, co jego wrażliwa i piękna dusza artysty przyjmowała, lub oddała, myśląc jakże często o swym Śląsku.

Trochę inną w swym rodzaju jest książka Lewińskiej. Nie wiem czy Autorka pisała przed wojną, nie wiem czy jest to święty odruch i wybuch tego wszystkiego, co nie poddało się i włączyło, tego wszystkiego, co jest dobre i święte w duszy — wiem jedno, że pisze to kobieta, której nie obce są sprawy uczuć i powikłań duszy kobiecej i wogóle ludzkiej — i że pisze je kobieta — bojowniczką, twardą i bardziej upartą niż czasem silniejszy mężczyzna.

Jej spokojne, zrozumiane i niezwykle prawdziwe refleksje nie są rozważaniami pięknoducha, artysty, który do brudu i zbrodni podchodzi mimowoli, z ciekawością i zawsze z pewnym obrzydzeniem — nie, Lewińska podchodzi tu do najgłębszych, najwznioślejszych i najstraszniejszych spraw z przedziwną i przepiękną prostotą, podchodzi nie jako obserwator artysta, ale bojownik, ale w służbie idei, twardo, nieugięcie — i tak bardzo bez frazesu i po ludzku, co jej bezpretensjonalną książkę czyni bliską.

Książka jej nie śni się po nocach, nie straszy efektami, które w istocie rzeczy efektami nie są, a tylko straszną prawdą, której jeszcze teraz, albo już teraz nie rozumiemy — ale pozwala **zrozumieć**. Zrozumieć i piekło i zbrodnię i upór i siłę woli.

Morcinek **odszukiwał** poprzez Dachau i Sachsenhausen Człowieka, **który znów chce się uśmiechać, dobrze i spokojnie: po chrześcijańsku**. Lewińska daje nam Człowieka, który **uśmiecha się zacięciem szczęk i dalszym oporem, dalszą walką i pogardą mordowanych dla mordujących**.

Obie książki są piękne.

Gustaw Morcinek: — «Listy z pod morwy» — nakładem Księgarni Polskiej w Paryżu. Drugie wydanie w Rzymie.

Pelagia Lewińska (Barbara) — «Oświęcim, pogarda i triumf Człowieka» — Książka polska we Francji, nakładem R. N. P. we Francji.

Odpowiedzi redakcji

P. Gustaw Morcinek, Rzym. — List przesłaliśmy. Numery i nasz list w drodze. Serdeczne pozdrowienia.

P. Antonina Adamczyk, Homburg, Niemcy. — List otrzymaliśmy i przedrukujemy jako bardzo charakterystyczny i ciekawy. Postaramy się pomóc.

P. dr. Olgierd Zdrojewski, Paryż. — Broszura w drukarni.

P. W. Urbanowski, Warszawa. — Z zostawionych materiałów drukujemy, prosimy o nowe. Nasze prześlimy. Cześć!

